Dziś w numerze: J. Marchlewski o sztuce ● Nowożeńcy? ● Królik ● Bibliotekarze... ● Mity współczesnego czterdziestolatka ● Węże z Sasakala ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy

Nr 20 (382)
22. V. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

DARIUSZ GREULICH

DZIEWCZĘTA NA STANCJI — PROBLEM PALĄCY

STANCJA „U CIOCI"

Gdy rozmawiałem w szkole z J. S. wszystko wydawało się w zupełnym porządku. Mieszkała od początku roku szkolnego u cioci, nie skarżyła się nigdy i wychowawca klasy nie mówił z nią na temat mieszkania, uważając że nie ma trudności. Uwagę moją zwrócił jednak zaspany wygląd dziewczynki i jakieś otępienie na twarzy.

Na pierwszy okres miała trzy oceny niedostateczne. Twierdziła, że w jednej izbie mieszka z nią pięć osób, w tym troje dzieci w wieku przedszkolnym. Ciasnota mieszkaniowa to zjawisko typowe dla uczniowskich stancji, ale uczennica opuściła kilkanaście dni w drugim okresie i chociaż zaprzeczała, postanowiłem sprawdzić czy nie obarczono jej funkcją niańki.

Wizyta na stancji była dla mnie prawdziwym wstrząsem. Centrum Bałut. Długi, ciemny korytarz w odrapanej kamienicy. Do drzwi podbiega troje umorusanych dzieciaków. Niczym nie przepierzony pokój aż lepi się od brudu. Wrażenie to potęgują rozrzucone naczynia i zaśmiecona podłoga. Na łóżku przysuniętym do stołu siedzi w postawie półleżącej kobieta w rozchełstanej koszuli, przy stole nie ogolony mężczyzna, a obok niego młoda kobieta, z krótko przyciętymi „miedzianymi" włosami, ubrana w czarny golf. Uczennica podniosła się właśnie na mój widok i stanęła niezdecydowanie przy kredensie. Na stole spostrzegam butelki po tanim winie i cztery szklanki. Po moim wyjaśnieniu, że przyszedłem obejrzeć stancję, starsza z kobiet, jak się okazało chrzestna uczennicy, zaczyna rozwlekle dowodzić, że dziewczyna nie miała się gdzie podziać, że trzeba by ją gdzieś umieścić, lecz nie wiadomo co z nią zrobić — „a jak jest, to sam pan przecież widzi". Na to młoda kobieta dorzuciła ochrypniętym głosem, nie odwracając nawet głowy w moją stronę: „Czy to tak być powinno, żeby żona szła na noc do roboty, a chłop spał z dziewczyną?". Na tym rozmowa urwała się, gdyż w całym towarzystwie tylko dzieci były trzeźwe. Uczennica, blada i rozczochrana, przez cały czas milczała i zachowywała się dość obojętnie. W mieszkaniu na sześć osób stało tylko jedno łóżko i kozetka. Sprawa była raczej jasna.

TRZY PUNKTY I JEDNA LINIA

Stancjami zająłem się zupełnie przypadkowo. Kiedy przeglądałem imienne wykazy uczniów zamieszkujących stancje, nadesłane w ubiegłym roku przez dyrekcje szkół do Pałacu Młodzieży, uwagę moją zwrócił dziwny fakt: stancji w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, czyli kwater u obcych, było bardzo niewiele a już wyjątkami były kwatery zbiorowe, o których to właśnie najczęściej pisze się w prasie, bijąc na alarm.

Po raz drugi zdziwiłem się, gdy porównałem ilość chłopców z dziewczętami: w 20 łódzkich technikach, wśród 614 uczniów zamieszkujących stancje było 167 chłopców i 447 dziewcząt. Jeżeli wziąć pod uwagę, że w ostatnich latach przyjęcia dziewcząt do technikum kształtowały się w granicach 47—53 proc., a środowisko wiejskie nie wyłamuje się z tej statystyki, nasuwa się przypuszczenie, że dla dziewcząt ze wsi łatwiej jest znaleźć stancje niż dla chłopców.

Jeszcze raz przeżyłem moment zdumienia — gdy porównałem ilość tych stancji w poszczególnych klasach. Z 477 dziewcząt w klasach I uczyło się 215, a w klasach V — 22. W każdej z dwóch pierwszych klas ilość dziewcząt na stancji zmniejszyła się o przeszło połowę! Nie da się tego wytłumaczyć ani rozwojem szkół ani przy-

Dalszy ciąg na str. 5

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

BUŁGARIA BEZ TURYSTÓW

Przed paroma laty Antoni Diakow poszedł z bratem na polski film — „Kanał". — Szczerze mówiąc — powiada — to właśnie wtedy, wychodząc z kina, powiedzieliśmy sobie obaj, że musimy poznać język kraju, który robi takie filmy..."

Antoni mówi świetnie po polsku, chociaż nigdy w naszym kraju nie był. Zresztą wśród bułgarskiej, a zwłaszcza sofijskiej inteligencji spotkałem wiele osób nie tylko znających biegle język, ale zorientowanych doskonale w kulturalnych wydarzeniach polskich, w toczących się dyskusjach, ba — nawet w plotkach rodem z Krakowskiego Przedmieścia. Kursy języka polskiego, prowadzone przez nasz ośrodek prasy i informacji w Sofii, cieszą się niesłabnącą frekwencją, około pół tysiąca absolwentów co roku zwiększa krąg stałych klientów Ośrodka: przychodzą tłumnie na filmy, odczyty, dyskusje, na czytanie polskiej prasy, na zmieniane często, skromne wystawy tematyczne.

Po trzecim kieliszku „Pliski", gdy nie przeszkadza już w rozmowie nadmierna powściągliwość i odrobina bacznej, wyczekującej rezerwy — chyba nie tylko po stronie mego sąsiada — Diakow mówi swym przyciszonym, zmęczonym głosem: — Wie pan, ja naprawdę kocham Polskę... I zaraz dodaje: tylko nie tę, co tu do nas przyjeżdża...

Przyjeżdżają dziesiątki tysięcy. To jeszcze nie Polska, ale już jakaś jej dostrzegalna część, powiedziałbym nawet: bardziej dostrzegalna, niż reprezentatywna. Większość znakomitą w tych dziesiątkach tysięcy stanowią panie, niekoniecznie najmłodsze. Panie, które w Złotych Piaskach i Słonecznym Brzegu nie czują na sobie spojrzeń opinii, są daleko od mężów, sąsiadek, znajomych. Klimat nad Czarnym Morzem wspaniały, krajobrazy przepiękne, sceneria jak z kolorowego filmu. Bułgarzy mają czarne wąsiki i mówi się na ucho o ich niebagatelnych zaletach w życiu, powiedzmy, towarzyskim. Było nie było...

Teraz mieszkańcy Sofii jadąc latem nad morze mówią, że jadą „na Polki". Morze nie jest więc powodem tych wyjazdów. Część Sofijczyków po powrocie do stolicy zapisuje się na kursy języka polskiego, żeby podtrzymać zadzierzgnięte kontakty, a druga, większa część wspomina z niesmakiem handlowe gonitwy przystojnych pań znad Wisły.

— Tylu nas mówi po polsku, a jak przyjedzie wasza wycieczka, to nie ma chętnych na przewodnika.

Ogromnie przykro tego słuchać. Chwilami miałbym ochotę powiedzieć Antoniemu, że mówiąc w ten sposób narusza kanony delikatności, że mnie po prostu obraża. Nie mówię tego, wiem że uznał mnie za partnera do szczerej wymiany myśli, że mówimy o naszym, w jakimś sensie, wspólnym zmartwieniu, nieantagonistycznie. Zresztą — temat naszych turystów już znacie, to jest okropne, to nam popsuje twarz wszędzie, nawet wśród serdecznych druhów — Węgrów, nawet w Bułgarii, zauroczonej naszym typem kultury. Cóż pomoże, jeśli jeszcze raz rozedrzemy szaty i jeszcze raz stwierdzimy, że nie ci mają pieniądze i uprawiają turystykę, którzy do niej dorośli?

W sklepach z wyrobami futrzarskimi, jak Bułgaria długa i szeroka, sprzedawczynie mówią już po polsku. Natomiast w sofijskim Muzeum Etnograficznym, w grubej księdze pamiątkowej znalazłem jeden tylko, jedyny zapis naszych rodaków: „zwiedzaliśmy Dom Pioniera, gratulujemy sukcesów, czuwaj!" Albowiem muzeum mieści się w Domu Pioniera i nasze harcerzyki — bo to była chyba wycieczka harcerzy — uznały ten fakt za najistotniejszy, nie zauważając wcale eksponatów.

Z wędrówek po galeriach i muzeach, skazany — z braku obcojęzycznych napisów i nieznajomości bułgarskiego — na ograniczenie się do czysto zewnętrznego, impresyjnego oglądu, nie uzupełnionego najkrótszym choćby komentarzem — pozostało mi wrażenie, że sztuka bułgarska, w odróżnieniu od sztuki całej reszty Europy, ignoruje prawie całkowicie jako temat kobietę. Nie tylko w muzeum sztuki cerkiewnej, jedynym w swoim rodzaju, zawierającym prze-

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Nie po raz pierwszy okazuje się, że wydarzenia międzynarodowe biegną szybciej niż trwa proces druku „Odgłosów". Z tego też powodu niżej podpisany nie zdążył w ubiegłym tygodniu odnotować dwóch ważnych z międzynarodowego punktu widzenia wydarzeń — wizyt premiera Kosygina w Zjednoczonej Republice Arabskiej i wicemarszałka Sejmu PRL — Kliszki we Francji. Obie tymczasem zasługują na uwagę i w myśl przysłowia: „Co się odwlecze — to nie ucieczе" będą przedmiotem zainteresowania w dzisiejszym przeglądzie.

Wizyta prem. Kosygina w Kairze traktowana jest przez obserwatorów zagranicznych jako element „ofensywy dyplomatycznej" w wielkim stylu, prowadzonej przez Związek Radziecki w rejonie Bliskiego Wschodu". Zdaniem „Figaro", skąd pochodzi cytat, znalazło to wyraz w podróży przywódców syryjskich do Moskwy i podpisaniu umowy o budowie tamy na Eufracie.

Inne pismo — „Observer" uważa nawet, że jest to „druga po Taszkiencie wielka inicjatywa międzynarodowa Związku Radzieckiego".

Nie licytując się co do znaczenia tej wizyty trzeba przypomnieć, że stosunki radziecko-egipskie od dawna już kształtują się na zasadach przyjaźni, a ich symbolem jest tama asuańska. Jej historia sięga 1956 roku, kiedy to mocarstwa zachodnie w sposób brutalny cofnęły swoje propozycje udziału w budowie. Wówczas rozpoczęły się rozmowy ze Związkiem Radzieckim, zakończone umową z grudnia 1958 roku, o udzieleniu przez ZSRR pomocy ekonomicznej i technicznej przy wznoszeniu tamy.

Przemawiając w Asuanie prem. Kosygin stwierdził, że budowa ta jest „nie tylko dobrą szkołą techniczno-zawodową, ale również polityczną".

Oba te określenia mają swoje głębokie uzasadnienie. Pierwsze, ponieważ specjaliści radzieccy tylko w Asuanie wyszkolili już ponad 11 tys. kwalifikowanych robotników egipskich, drugie, ponieważ od czasu, kiedy pojawili się oni nad Nilem, Zachód nie odważa się już dyktować Kairowi żadnych warunków politycznych.

Rozmów prem. Kosygina z prez. Naserem nie można jednak traktować wyłącznie z punktu widzenia stosunków Moskwa—Kair, ani nawet: obóz socjalistyczny — świat arabski. Mają one jeszcze szersze znaczenie, z czego zdają sobie sprawę komentatorzy. Egipt prowadzi przecież aktywną walkę przeciwko kolonializmowi, a na wiele nabolałych problemów światowych, żeby wymienić tu chociażby kwestię wietnamską, ma zbieżny pogląd z europejskimi krajami socjalizmu.

To właśnie — zdaniem obserwatorów zachodnich — było głównym powodem wyboru Kairu jako miejsca pierwszej podróży prem. Kosygina poza światem socjalistycznym.

I jeszcze jedna uwaga — w ostatnim okresie wiele rozgłosu nadaje się powtarzanym pogłoskom o przyjeździe do Kairu, ale w terminie późniejszym, prem. Czou En-laia. Ewentualność tę wyprowadza się z faktu, że w br. odwiedzi on Bukareszt.

(Przy okazji: w dniach 10—13 bm. w Bukareszcie przebywał Leonid Breżniew).

Dużym zainteresowaniem europejskiej opinii publicznej cieszy się wizyta w Paryżu grupy parlamentarzystów polskich z wicemarszałkiem Kliszko.

Komentatorzy zwrócili szczególnie uwagę na spotkania Zenona Kliszki z prezydentem de Gaulle'em, premierem Pompidou oraz na zbieżne w czasie oświadczenie min. Couve de Murville, który wkrótce odwiedzi Polskę.

Po rozmowie z prezydentem Francji wicemarszałek Kliszko oświadczył dziennikarzom, że jej tematem były stosunki bilateralne. („Mówiliśmy o stosunkach polsko-francuskich, które rozwijają się coraz lepiej we wszystkich dziedzinach. Rozmowa przebiegała w bardzo serdecznej atmosferze. Jestem z tej rozmowy bardzo zadowolony".) Nie ulega jednak wątpliwości, że nie pominięto okazji, by „dotknąć" również spraw międzynarodowych.

Szczególnego znaczenia tej rozmowie nadają co najmniej trzy okoliczności: nawiązanie w ub. roku przez premiera Cyrankiewicza interesującego dialogu polsko-francuskiego, przygotowania de Gaulle'a do moskiewskiej podróży i wycofanie się Francji z militarnej struktury bloku atlantyckiego.

„Chicago Daily News" na marginesie wizyty przedstawicieli Sejmu PRL stwierdza, że de Gaulle jest w Polsce popularny przede wszystkim dlatego, że „jest jedynym przywódcą zachodnim, który uznał polską suwerenność nad byłymi terytoriami niemieckimi". Dodajmy: i z innych powodów, ponieważ niejednokrotnie dowiódł swego r e a l i z m u politycznego.

* * *

W ostatnich dniach agencja Sinhua ogłosiła komunikat o kolejnej trzeciej eksplozji nuklearnej. Tym razem eksperyment przeprowadzono z ładunkiem termojądrowym, jak twierdzą eksperci — z tzw. „brudną bombą wodorową".

Komentarzom i spekulacjom na ten temat w prasie zachodniej nie ma końca. Z ciekawszych następstw odnotujmy apel trzech senatorów demokratycznych do administracji Johnsona, aby wystosowała ona do Pekinu zaproszenie w celu nawiązania rozmów o kontroli nad broniami jądrowymi.

Apel apelem, a tymczasem Stany Zjednoczone pozwoliły sobie na nową eskalację, organizując lotniczy wypad na obszar Chin Ludowych, gdzie zestrzelono dokonujący lotu ćwiczebnego samolot chiński.

Kilka dni wcześniej rzecznik Departamentu Stanu oświadczył, że „nie będzie sanktuariów dla żadnych samolotów stojących na drodze lotnikom amerykańskim". A więc nowa doktryna i niebezpieczna prowokacja. Jak niebezpieczna — nie musimy wyjaśniać.

Równocześnie USA w dalszym ciągu zwiększają swe siły w Wietnamie, dążąc chyba do osiągnięcia poziomu 400 tys. żołnierzy. Wciąż aktualne jest więc w USA pytanie: i co dalej?

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ Katastrofa samolotu z bombami wodorowymi na pokładzie w Palomares w Hiszpanii, według słów ambasadora USA w Madrycie spowodowała gwałtowne zmiany w życiu mieszkańców tego zacofanego rejonu. „W mgnieniu oka — powiedział on — podciągnęliśmy tych mieszkańców do poziomu naszej epoki. Nie wolno bowiem zapominać, że żyjemy w epoce broni atomowej. Nasz wiek — to era bomb.

■ Dziennik „Prawda" w artykule „Wymogi życia a nauki społeczne" pisze, iż „życie wymaga od przedstawicieli nauk społecznych, aby ostatecznie przezwyciężyli nieśmiałość w podejściu do pracy badawczej. Wielu teoretyków wciąż jeszcze odczuwa lęk przed odpowiedzialnością. Taka postawa datuje się od czasu, kiedy poważne badania zastępowano częstokroć bezmyślną cytatomanią. Zamiast śmiałego wysuwania i badania problemów, wciąż jeszcze zaobserwować można chęć uchylenia się od ostrych zagadnień, schowania się za parawanem takiego czy innego cytatu".

■ We Włoszech można już głosować na socjalistów bez narażania się na „popełnienie grzechu" — oświadczył na łamach jednego z katolickich pism kardynał Ottaviani, uważany za przywódcę konserwatywnego skrzydła hierarchii watykańskiej. We Włoszech powiedział on — mając na uwadze socjaldemokratów i socjalistów Nenniego — są socjalistyczne partie które rozwijają się we właściwym kierunku, chociaż trudno powiedzieć w tej chwili, czy odrzuciły one nauki Marksa. Zmiana stanowiska Watykanu nie dotyczy komunistów, którzy „nadal kierują się w swym działaniu teoriami marksistowskimi".

■ **Zabierając głos na posiedzeniu Zarządu Związku Pisarzy RFSRR, radziecki dramaturg Wiktor Rozow powiedział: „najbardziej dramatycznym problemem dramaturgii radzieckiej, a w dużym stopniu całej literatury radzieckiej jest nienadążanie za rosnącymi wymogami społeczeństwa.**

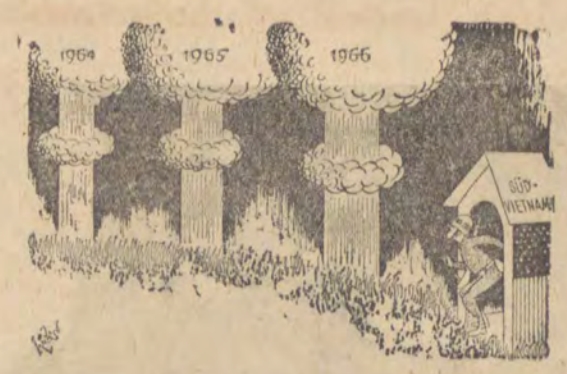

— Prawdę mówiąc, boję się tych grzmotów.
(Die Welt)

■ Amerykańskie statystyki notują około 5 milionów alkoholików. Z każdym rokiem liczba alkoholików wzrasta o 200 tysięcy. Według opinii Ministerstwa Zdrowia — alkoholizm obok raka, dolegliwości sercowych i chorób psychicznych stanowi jeden z czterech głównych problemów zdrowotnych w Stanach Zjednoczonych.

■ Według oceny ekspertów zachodnich siła wybuchu ostatniej eksplozji nuklearnej przeprowadzonej przez ChRL przewyższała ponad sześciokrotnie siłę wybuchu poprzednich ładunków jądrowych. Premier Czou En-lai oświadczył, że „pomyślna trzecia chińska eksplozja jądrowa stanowi niewątpliwie wielką zachętę dla narodów, które walczą bohatersko o swe wyzwolenie".

■ **Konserwatywny dziennik szwedzki „Svenska Dagbladet" w korespondencji ze Stanów Zjednoczonych pisze o szybko postępujących zmianach w nastrojach amerykańskiej opinii publicznej na przestrzeni ostatniego półrocza.**

„Jest to oscylowanie między tradycyjnym zaufaniem do amerykańskiej polityki i potęgi, a konfuzją, niepewnością i rozczarowaniem... Dla coraz więcej Amerykanów Wietnam zaczyna się przedstawiać jako niepotrzebna, błędna awantura wojenna".

■ Prasa zachodnia donosi, że prezydent Johnson może w najbliższych dniach podjąć decyzję zbombardowania składów paliwa płynnego położonych w pobliżu Hanoi i Haifongu, co oznaczać będzie dalsze istotne wzmożenie wojny na półwyspie Indochińskim.

■ Bratysławski tygodnik „Kulturni Tvorba" w publikacji na temat barier utrudniających rozwój ekonomiczny Czech pisze, iż owe bariery to nie tylko błędy, lecz w pierwszym rzędzie wyraz niedoceniania człowieka jako twórcy jako potencjalnego źródła wiedzy. Utrudnienia w życiu ekonomicznym wywodzą się zdaniem publicysty, z sobkostwa, braku talentu, niefachowości, a przede wszystkim konserwatyzmu i niezdolności twórczego myślenia i działania.

■ **Pekiński dziennik „Żenminżipao" pisze, iż w Chinach „rozpoczęła się nowa era, kiedy to chłopi świadomie rozwijają nauki rolnicze i filozoficzne". Dziennik podkreśla, że praktyka dnia codziennego obala burżuazyjny pogląd, według którego nauka jest sprawą ludzi o wykształceniu akademickim, podczas, gdy ludzie pracy nie znają się na niej. Pismo stwierdza, że jedyną drogą do należytego rozwoju badań rolniczych jest opieranie się na byłych biedniakach i średniakach, ponieważ są oni najwiekszymi entuzjastami budownictwa socjalistycznego.**

■ Kanadyjski socjolog C. W. Hobart oświadczył, iż szereg oznak wskazuje na pojawienie się wśród młodzieży amerykańskiej instynktów dyktatorskich. Omawiając wyniki jednej z ankiet, kanadyjski uczony wyjawił iż 60 proc. badanych osób wypowiedziało się za wprowadzeniem cenzury książek i prasy, niemal połowa uczestników ankiety wypowiedziała się za całkowitym zniesieniem wolności prasy.

■ **Profesor psychologii uniwersytetu bostońskiego, zajmujący się badaniami przyczyn wzrostu liczby osób psychicznie chorych w USA na przestrzeni ostatnich stu lat, doszedł do wniosku, że „w 2066 roku liczba psychicznie chorych równa będzie liczbie mieszkańców kraju i nikt wówczas nie odróżni obłąkanego od człowieka normalnego".**

Erhard wobec dialogu SED — SPD.

W dzisiejszych czasach każdy może się utrzymać przy władzy, jeśli tylko zaprzecza wcześniej udzielonym obietnicom i prócz tego nic więcej nie robi.

MALCOM MUGGERIDGE — PUBLICYSTA BRYTYJSKI

■ Radziecki dziennik „Trud" postuluje wprowadzenie w zakładach przemysłowych socjologii i psychologii. „Ile kolektywnych wysiłków idzie u nas na marne — konstatuje pismo — ilu postronnych specjalistów wciąga się do podejmowania decyzji, które mógłby podjąć jeden rozsądny psycholog".

CO SŁYCHAĆ W ELEGANCKIM ŚWIECIE?

Warszawka ma to do siebie, że nas — zwykłych prowincjuszy — raczy od czasu do czasu jakimś sensacyjnym wydarzeniem z wielkiego, stołecznego świata. I tak w ostatnim numerze „Kultury" pan KTT zawiadamia nas, że jego przyjacielowi panu Zalewskiemu Witoldowi skradziono samochód, zresztą nie byle gdzie, bo przed samym Teatrem Wielkim, dokąd przyjaciel KTT zajechał wraz z rodziną na galowe przedstawienie. Wóz się jednak znalazł, zginął natomiast szalik. W związku z tym właściciel szczęśliwie odzyskanego wozu postawił przyjaciołom koniak, a KTT napisał z tej racji felieton, jak zawsze interesujący i nie na bagatelny temat. Kiedy bowiem przyjaciele pili koniak, to się trochę rozkrochmalili i zaczęli chwalić złodzieja. Mógł ukraść samochód samego Zalewskiego, a zabrał tylko szalik, więc też wszyscy zaczęli przy tym koniaku chwalić złodzieja, łącznie z Autorem felietonu. Jednakże KTT zreflektował się pierwszy i pierwszy napisał, że tak nie można, małe świństwa nie powinny ginąć w cieniu wielkich. Słusznie. Nam na prowincji tego rodzaju przypadki nie grożą, mało u nas samochodów. Teatr Narodowy co prawda na wykończeniu, jakaż jednak pewność, że będziemy przed frontonu zajeżdżać chociażby tylko taksówkami.

Warszawska prasa kobieca, mamy na myśli bojową „Kobietę i życie" lansuje modę na młodych mężczyzn. Lansuje — trzeba przyznać — w sposób niezwykle perfidny. Stały felietonista tego tygodnika, niejaki pan Feliks, z pewnością tęgi pan toflarz, pisze w ostatnim numerze przeciwko panom po czterdziestce. Dałoj z nimi! Toż to już wraki, a nie mężczyźni. Feliks pisze na własną zgubę: „Niektórzy stają się pacjentami psychiatry, inni zaczynają się przekomicznie spieszyć i nadrabiać zaniedbania, w ważnej — owszem, a jakże — dziedzinie i po prostu rzucają swoją własną żonę, poniektórzy kapcanieją. Są tacy co rozczytują się w biografiach i znajdują pokrzepienie choćby w żywocie Picasso. Sam fakt istnienia takich żywotnych starców wpływa pokrzepiająco."

A dalej powiada ów zdrajca Feliks, że znowu inni panowie po czterdziestce, unikają rówieśników, otaczają się wyłącznie młodzieżą, ubierają się pstrokato, wciskają swoje brzuszki w dżinsy i tańczą w takt big — beatu, a w końcu żałośnie przegrywają, wszyscy natomiast popadają w czarną rozpacz. Co innego kobiety, one znoszą godnie swój wiek. Feliks, zapewne suto opłacany przez redakcję za tego rodzaju rewelacje pisze: „Wszystko to odnosi się do mężczyzn. U kobiet proces ten przebiega nieco inaczej. Od szesnastego roku życia istota rodzaju żeńskiego wpatrzona jest w lustro i uważnie śledzi skutki biegu czasu."

Prawda była. No, bo gdyby była, znaczyłoby, że to mężczyźni kochają te godziny u fryzjera i masażysty, te rozpaczliwe zabiegi z pszczelim mleczkiem, korzeniem żeńszeniowym, maseczkami ziołowymi, miodowymi, owocowymi, operacjami plastycznymi, a nie kobiety, że to mężczyźni opowiadają najbardziej zgryźliwe kawały o starości, a nie kobiety.

A znowu nasz kochany, stary Kraków akurat przeciwnie, wierzy, że moda na starszych panów już, już nadchodzi. Zdaje się ją zapowiadać Kisiel w „Tygodniku Powszechnym", który ma na myśli nie tylko starszych ludzi, ale w ogóle rzeczy stare. Kisiel pisze:... „trzyma mnie gdzieś na dnie serca ukryta, irracjonalna lecz ulubiona — nadzieja. Jaka? Nadzieja, że zdarzy się cud i to co stare, nienowoczesne, niemodne stanie się nagle najmodniejsze. Bywały już takie cuda: przed paru laty Duńczycy zrobili na tym interes, sprzedali do Ameryki wszystkie swoje staroświeckie aparaty telefoniczne z wiszącą trąbką do mówienia a drugą do słuchania i z wygrawerowanym napisem „z kraju Andersena"...

Chyba słusznie. Niech żyją stare aparaty telefoniczne, stare wino, walce stare i starsi ustabilizowani panowie.

I tyle będzie na ten raz nowości z wielkiego świata. Do poczytania w przyszłym tygodniu.

Wiesław Jarosiński

J. MARCHLEWSKI O SZTUCE

17 maja minęła setna rocznica urodzin jednego z najwybitniejszych działaczy polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, współzałożyciela ZRP, przywódcy SDKPiL, rewolucjonisty-teoretyka, Juliana Marchlewskiego.

Marchlewski znany jest społeczeństwu polskiemu głównie jako człowiek czynu, działacz, który całe swe życie związał z codzienną rewolucyjną walką proletariatu, mniej natomiast jako publicysta-krytyk, którego zainteresowania skupiały się na sprawach sztuki i literatury. Poglądy na sztukę i literaturę wielkiego rewolucjonisty mają doniosłe znaczenie społeczno-polityczne. Marchlewski rozumiał rolę sztuki i literatury jako czynników kształtujących świadomość społeczną narodu, dostrzegał ścisły związek sztuki z życiem, jej funkcje jako oręża wychowawczego.

Oto niektóre sądy Marchlewskiego na temat sztuki, literatury, twórców.

...Sztuka to nie zbytek, lecz chleb powszedni duszy, nie upiększenie życia lecz samo życie.

(„Prawda", Warszawa 1901 rok, nr 20)

...Dzieło sztuki musi na nas oddziaływać, zmuszać do myślenia, wzruszać. Trudność polega na tym aby wyjaśnić, dlaczego jeden obraz pozostawia nas chłodnymi, a drugi wzrusza, interesuje, zachwyca. Nikomu nie udało się tego wyrazić i zapewne nie da się nigdy (...) Można zaledwie wskazywać, nie definiować i jakkolwiek można próbować dotrzeć do źródeł swoistych cech poszczególnego dzieła, poszczególnego artysty, to niemożliwe jest stawianie tu tez ogólnych. (Dlatego też nie ma nic bardziej niedorzecznego aniżeli teorie w sztuce.)"

(„Arbeit Zeitung", Drezno, 1897)

...O tym, że ludzie, wszyscy bez wyjątku, pragną upiększać ściany swych mieszkań rzeczami pięknymi wiemy powszechnie. Zamiast dzieł sztuki handel podsuwa marne i szkodliwe malowidła. W chatach włościan obrzydliwe bohomazy, w mieszkaniach robotników i drobnomieszczaństwa, a nawet zamożnej burżuazji, nie mniej szkodliwe oleodruki w kosztownych nieraz ramach. Nawyknienie do patrzenia na te marnoty jako na rzeczy „bardzo ładne" zabija poczucie piękna, pokolenie młodych wyrasta pod wrażeniem szkaradnictw i wypacza swój zmysł estetyczny. Temu koniecznie przeciwdziałać należy.

(Poradnik dla czytających książki, 1901 r. nr 14)

...Chodzi o to, aby obudzić i rozwinąć zmysł piękna. Powinno to nastąpić w okresie rozwoju duchowego. Jak oddziałujemy na umysł dziecka, tak samo powinniśmy uczynić jego duszę zdolną do poznawania i przyjęcia piękna. Sposób jest oczywisty. Otoczmy dziecko pięknem. Reformatorzy mają słuszność twierdząc, że przede wszystkim sama szkoła powinna być świątynią piękna; piękny gmach, pełen dzieł sztuki i kwiatów, gdzie dziecko widzi i słyszy jedynie piękno.

(Leipziger Volkszeitung, Lipsk, 1908 r. nr 108)

...Sztuka nie jest czymś, na co przychodzi kolej, gdy inne potrzeby są już zaspokojone, ale jest pierwszą potrzebą istoty, która wznosi się ponad czysto zwierzęcy byt. Sztuka nie jest „upiększeniem życia", jest samym życiem, nie jest po to, by „w chwilach uroczystych" wznosić nas ponad „troski dnia codziennego". Człowiek — przynajmniej jeśli pretenduje do miana człowieka kulturalnego powinien zawsze i wszędzie zachować swe poczucie sztuki.

(„Die Neue Zeit" Stuttgart, 1901 r., nr 5)

...Ludzkość nigdy nie przestanie dążyć do piękna, dążenie to jest bowiem jednym z najszlachetniejszych skarbów ludzkiego ducha i ludzkość utoruje sobie drogę do piękna, jak wiele innych celów tak i ten można będzie osiągnąć dopiero wtedy, gdy państwo kapitalistyczne rozpadnie się w gruzy.

(„Leipziger Volkszeitung" Lipsk, 1908 r. nr 108)

Poglądom Marchlewskiego na ideowo-wychowawczą rolę sztuki towarzyszy przekonanie o doniosłej funkcji społecznej artystów i pisarzy, których miejsce widzi „w przedniej straży zastępu walczącego o prawdziwą wolność i demokrację".

...Nie agitatorem politycznym i społecznym chciałbym widzieć poetę, lecz mistrzem, który wtłacza (w łby) masom przeświadczenie o tym, że ten tylko jest człowiekiem, którego obchodzą do żywego losy ludzkie, a te nie kończą się na sferze uczuć osobistych i cierpień jednostkowych.

(Z listu do Władysława Orkana, 1902 r.)

Z przekonania o społecznym powołaniu pisarza narodził się energiczny protest wielkiego rewolucjonisty przeciwko atakom na pisarzy, brutalnym ingerencjom policji, nagonkom inspirowanym przez kapitalistyczne władze państwowe. W artykule opublikowanym w „Prawdzie" w 1901 r. Marchlewski ostro potępił szykany władz holenderskich wobec pisarza niderlandzkiego Multatulego, który w powieści Max Havalaar oskarżył system wyzysku kolonialnego.

„...Tak było i tak będzie zawsze — powiedział w tym artykule Marchlewski. *Prorocy uznania nie znajdują. Dobrze jeszcze, gdy im pozwolą umrzeć śmiercią przyzwoitą na krzyżu, na stosie, gorzej tym, których o śmierć przyprawią w błocie maluczkich udręczeń życiowych, w kale oszczerstw, potwarzy, łajdactw."*

(„Prawda" 1901 r. nr 36)

W tym duchu utrzymana jest również odpowiedź Marchlewskiego na ankietę „Krytyki" w związku ze skonfiskowaniem przez policję w roku 1902 tomu opowiadań Andrzeja Niemojewskiego pt. „Legendy".

...Ad I. Nie ma w naszym języku wyrazu dostatecznie dosadnego na określenie stopnia pogardy, którą czuć musi każdy człowiek dla mameluków pisarskich, posługujących się w walce ideowej denuncjacją i apelem do policji.

Ad II. Nie tylko do spraw artystycznych, lecz również naukowych, publicystycznych i w ogóle do twórczości duchowej — policji zasię.

Ad III. Istnieje tylko jeden środek: demokratyzacja form politycznych, unicestwienie wszystkich tych instytucji państwowych, które z natury swojej muszą być reakcyjne, tym samym dopuszczać się muszą zamachu na wolność słowa i myśli...

(„Krytyka", Kraków 1902)

...Społeczne poglądy artysty są bez znaczenia tam, gdzie chodzi o społeczny wpływ sztuki i związek między życiem społecznym a sztuką. Chodzi o fakty nie o poglądy. A fakty przemawiają jasną, zrozumiałą mową: nowa sztuka należy do socjalizmu.

(„Die Neue Zeit" Stuttgart, 1901 r.)

BUŁGARIA BEZ TURYSTÓW

Fot. Marcin Menzel-„Biały rów".

Dalszy ciąg ze str. 1

piękny zbiór starych ikon i miniatur („Po obejrzeniu tego muzeum znów cieszę się, że jestem malarką!" — napisała tu pewna szwedzka plastyczka), gdzie spoglądają ze ścian szeregi hieratycznie upozowanych brodatych postaci — także w Galerii Sztuki Narodowej, a nawet w galeriach współczesnych, ogromną większość płócien stanowią sceny batalistyczne i portrety męskie. Malarstwo abstrakcyjne bądź nie jest szerzej uprawiane, bądź też nie utorowało sobie jeszcze drogi do publicznych zbiorowych ekspozycji. Nawet przyrodę, krajobraz traktują tutejsi twórcy raczej jako tło dla scen bitewnych i rodzajowych, niż jako samoistne tworzywo artystyczne. Dużo w bułgarskich muzeach martyrologii, egzekucji, głodu, braneк, pogromów, biedy. Dużo zaciętych, groźnych, wymizerowanych twarzy. Oczywiście, to historia tego kraju jest winna. Brak radości życia. Brak pierwiastka kobiecości, erotyzmu, macierzyństwa, swawoli. Może te braki są nierozłączne?

Drugi raz — po paru latach — zatrzymuję się długo przed „Duchem i materią" Nikołowa w marmurze, przed wielkim, jednym z paru zaledwie, aktem leżącej kobiety. I rzeźba i obraz są pełne sugestywnej udręki; nawet niemowlę, śpiące twarzą w dół, wzruszająco bezbronne, budzi raczej niejasne uczucia winy i współczucia, niż radości i zachwytu nad cudem raczkującego świata.

Naturalistycznej konwencji w plastyce odpowiada absolutna stanisławszczyzna w teatrze. Aktorzy grają arcyserio, dosłownie, z wielką ambicją starając się wejść bez reszty, bez cudzysłowu, w skórę przedstawianej postaci. Nowoczesne sztuki z trudem ten styl gry wytrzymują. Dwie jednoaktówki Mrożka, przełożone przez Diakowa i przygotowywane przez warsztat szkolny studentów akademii teatralnej, są tematem ożywionych, gwałtownych dyskusji w tak zwanym środowisku. Antoni kłóci się o interpretację każdego słowa. Młodzi reżyserzy, scenografowie, aktorzy słuchają z wielką uwagą, chcą zrozumieć cienkie podteksty, rozumieją je zresztą bez pudła i cieszą się nimi jak prawdziwą nowością. Przyjemnie jest słuchać takich dyskusji w „Sławiance" przy ulicy Rakowskiego. Coraz to włączy się czyściutkim polskim zwrotem ktoś z licznych tu młodych ludzi, mających za sobą studia w Warszawie, Łodzi, Krakowie, albo stanie nad głową ciemnoskóry, uśmiechnięty Afrykańczyk, w którego grubych, mięsistych wargach słowiańskie słowa zabrzmią jak najczystsza egzotyka. Rzadziej wezmą udział w rozmowie dziewczęta, czarnookie, o bujnych, smoliście czarnych włosach, bardzo rzadko przerabianych na Tycjana lub inne błękity i róże znane z naszych wielko i małomiejskich ulic. Jeśliby można własny gust, własne kryteria urody kobiecej uznać za powszechne i obiektywne, musiałbym powiedzieć, że średnia tej urody w Polsce przewyższa znacznie średnią bułgarską. Za to — gdy się spotka Bułgarkę ładną, to już jest bez przesady bardzo ładna. Nie maluje włosów ani oczu, nie podkreśla przesadnie ust, a człowiek miałby ochotę nieraz się po kątach „Sławianki", a i na ulicy też, obejrzeć i zagapić...

Wieczorami w lokalach dziewcząt prawie że nie ma. Mężczyźni siedzą po pięciu, sześciu i popijają wino, zagryzając podsmażonym na maśle, gorącym serem owczym. Przygrywa im dobra orkiestra, nowoczesne, mocne rytmy obijają się głucho o absolutną ciszę na sali, o pustynię parkietu, z którego żywa dusza teraz, poza sezonem, nie korzysta. Parkiety są dla cudzoziemców, Bułgarzy publicznie nie tańczą. Trzeba było iść na studencką uroczystość Dubropłodnyj w akademii teatralnej, żeby zobaczyć tańczącą młodzież. Tam, między sobą, tańcują frenetycznie, z zapamiętaniem — same twisty i letkissy. W lokalach widocznie nie wypada. W lokalu — jeśli już trafi się kobieta — to w towarzystwie kilku panów, którzy nawet gdy chwyci torebkę z widocznym zamiarem pójścia do toalety poderwą się szarmancko, najszybszy z nich odprowadzi damę aż pod wiadome drzwi, tam poczeka i przyprowadzi z powrotem do stolika. Taki zwyczaj. Żeby damy nie spotkało po drodze coś złego.

Zresztą w ogóle w droższych restauracjach, nastawionych na sezonowy ruch zagranicznych turystów, pustawo teraz i nudno. Natomiast nieustanny tłok w tanich, a bardzo licznych barach samoobsługowych, gdzie popularna kewapczica jest już jednym z najdroższych dań, gdzie całe menu stanowią trzy—cztery potrawy, zjadane na stojąco, pośpiesznie, w warunkach mniej więcej naszych trzecich kategorii, tyle że bez oparów alkoholu. Tu można zobaczyć co i jak jadają Bułgarzy na co dzień. Wcale nie winogrona i nie kolorowo przybrane frykasy z baraniny, i nie prosiaczki pieczone z pietruszką, jak w wytwornym hotelu „Riła". Ledwie ciepłe frytki, kupka czerwonej pasty ze słodkiego tureckiego pieprzu — peperoni, albo rozgotowany i rozgnieciony bakłażan, pachnący jak świeży wiejski razowiec, mała, czarna, pieczona na ruszcie kiełbaska: oto kewapczica. Smaczne, ale nie trzy razy dziennie. Więc może na odmianę — mustaca, wiórki mięsa zagniecione w cieście, coś na kształt poleskiego pieroga — o ile wiecie, co to jest poleski pieróg. Albo czarny, spieczony na ruszcie kawałek wątroby, niestety zimnej, albo — również spieczona — świńska rapetka. Do tego dużo, dużo chleba, białego jak śnieg, puszystego jak wata, nieodzownego przy każdym posiłku. Rzadko jada się zupy, pachnące mocno czosnkiem. Za to zapija się wszystko świetną mineralną wodą, o leczniczych ponoć właściwościach; cała Sofia podminowana jest źródłami tej wody: ma ją w kranach, w butlach, studniach, syfonach.

Nie ma więc w Sofii — jak widzicie — nocnego życia. Bary zamyka się o ósmej, dwie—trzy godziny później wstaną od stolików stateczni mężowie, odrobinę tylko rozmowniejsi po wypitych „Pliskach", i spokojnie pójdą do domu. Stolica.

Jeszcze zobaczymy w wielkim skrócie kraj poza stolicą. Jeszcze wrócimy tu na parę dni i parę naście rozmów, wrócimy z głową pełną niedokończonych myśli, podrażnioną różnością wrażeń. Jeszcze też będziemy próbowali wrażenia te ustawić w kolumny, wyrównać i podsumować. Tymczasem — dobrej nocy.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

KONRAD FREJDLICH

Pitaval łódzki

ŚMIERĆ PREZYDENTA

W Wielki Czwartek, 14 kwietnia 1927 r. równo z wybiciem godziny dwunastej na gmachu Magistratu łódzkiego opuszczono do połowy masztu chorągiew przybraną czarną wstęgą, a pobliskie latarnie owinięto żałobną krepą. Te oznaki śmierci jakiejś ważnej osobistości zwróciły od razu uwagę przechodniów. Nic więc dziwnego, że na Placu Wolności zaczęły się gromadzić tłumy, które obiegła szeptana z ust do ust wiadomość o zabójstwie prezydenta miasta.

Nie chciano dać wiary. Pełniący urząd prezydencki od lipca 1923 r. sędzia Marian Cynarski cieszył się dobrym zdrowiem i był człowiekiem stosunkowo młodym, nie ukończył bowiem jeszcze lat 47. Po okresie „zaczadzenia" propagandą endecką z wolna wycofywał się z czynnego życia politycznego, znalazł sobie teatralne hobby i z zapamiętaniem pisywał do gazet recenzje z łódzkich spektakli pod niezbyt szczęśliwie przybranym pseudonimem Kozodój.

Ale przystrojone czernią latarnie zadawały kłam wszelkim głosom sceptycznym wśród gawiedzi. Spragniony sensacji tłum pobiegł więc na ul. Św. Andrzeja [1]), gdzie zamieszkiwał prezydent i wtedy każdy mógł zobaczyć w bramie domu nr 4 wzmocniony patrol policyjny VII komisariatu. Tu wiadomości szeptane z ust do ust były pewniejsze i obfitsze. Mówiono, że prezydent Cynarski zmarł od ciosu zadanego nożem lub sztyletem, a także że na górze, na drugim piętrze w mieszkaniu zamordowanego jest już naczelnik policji, inspektor Niedzielski wraz z szefem sekcji kryminalnej, komisarzem Weyerem.

Policjanci ci, rzeczywiście przybyli już na miejsce wypadku. Zastali złożone na kanapie zwłoki i wysłuchali relacji dr Sołowiejczyka, który jako pierwszy i zarazem ostatni, udzielał pomocy konającemu prezydentowi. Nie było tu już nic do roboty. Komisarz Weyer zarządził skrupulatne przeszukanie schodów i bramy wejściowej. Zameldowano mu o nieudolnym usiłowaniu włamania do mieszczącego się na parterze sklepiku papierniczego Kutnera. Wyłamany skobel i zniknięcie kłódki — oto i cała wizytówka jaką zostawił po sobie zabójca. Ze sprzecznych relacji stangreta magistrackiego Eklera i czternastoletniej córki Cynarskiego, udało się sporządzić mocno hipotetyczny rysopis mordercy: lat około 30, okrągła twarz z czarnym zarostem, ubrany w jasną jesionkę i cyklistówkę oraz w buty z cholewami.

Zebrawszy pierwsze dane komisarz Weyer podyktował ogłoszenie dla prasy:

„5.000 ZŁ. NAGRODY OTRZYMA TEN, KTO PRZYCZYNI SIĘ DO UJĘCIA SPRAWCÓW ZABÓJSTWA DOKONANEGO NA OSOBIE PREZYDENTA M. ŁODZI, MARJANA CYNARSKIEGO W DN. 14 BM. OKOŁO GODZINY 11 RANO W KLATCE SCHODOWEJ DOMU PRZY UL. ANDRZEJA 4".

Wypadek miał miejsce na kwadrans przed jedenastą. Prezydent schodził do czekającego przed bramą powozu. Słysząc dostojne kroki stangret spoglądał na bramę, aby z należytym uszanowaniem powitać pryncypała. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk prezydenta: „Złodzieje". Z bramy ktoś wybiegł, ktoś inny właśnie do niej wpadał. Powstała panika, która stała się sprzymierzeńcem mordercy. Kiedy zaprowadzono jakiś taki porządek, prezydent leżał w kałuży krwi, a zabójca znikał właśnie w wylocie Al. Kościuszki. Źle zorganizowany pościg nie mógł już, oczywiście, dać żadnych rezultatów.

Komisarz Weyer zestawił wszystkie dane wstępnych przesłuchań i przyjął wersję zabójstwa przypadkowego. Po prostu schodzący z góry prezydent zaskoczył włamywacza przy odrywaniu kłódki, może nawet usiłował go schwytać, złoczyńca więc czując się w potrzasku, zadał cios nożem, aby umożliwić sobie ucieczkę. Weyer z zawodową gorliwością policjanta zarządził kilkanaście aresztowań podejrzanych osobników, których mundurowi od dawna już mieli na oku, tusząc że może wśród nich uda się znaleźć mordercę, ale akcja nie dała żadnych rezultatów. Stangret magistracki, woźna Grochowina i przypadkowy przechodzień, którym okazano zdjęcia zatrzymanych rozwiali nadzieje komisarza do reszty.

Trzeba przyznać, że w wersję zabójstwa przypadkowego nie wierzył także nikt w Magistracie, czy raczej w magistratach łódzkich, gdyż władze municypalne były w owym czasie mocno zatomizowane, a niesmaczne rozgrywki paraliżowały całkowicie pracę w łonie rządzącej koalicji chadecko-endeckiej. Prowadzona wojna podjazdowa nasiliła się pod koniec kadencji tym bardziej, że sytuacja gospodarcza miasta była już wyjątkowo zła. W krótkim okresie czasu liczba bezrobotnych pobierających zasiłki wzrosła z 70 000 do 120 000 osób, a liczby te nie obejmują obywateli miasta pozbawionych jakichkolwiek źródeł utrzymania. Przy tym miasto zaciągnęło poważne długi na różne roboty komunalne i stało na progu bankructwa.

Ale śmierć Cynarskiego, na zewnątrz przynajmniej, powstrzymała rozpad chadecko-endeckiego sojuszu. Rządząca klika dostrzegła w mordzie nadzwyczajna szansę wyjścia z kłopotów, odwrócenia uwagi społeczeństwa od stanu kasy miejskiej, jakby śmierć prezydenta mogła zrównoważyć nieudolną politykę gospodarczą. Władcy magistraccy radzi byli wykorzystać mord do gry wyborczej, aby utrzymać chwiejące się pod nimi stołki. Zdawało im się nawet, że można sprawie nadać szerszy aspekt. Gdyby się tylko udało udowodnić związki zabójcy z sanacją. Byłby to wszak wspaniały rewanż za kompromitującą endeków śmierć pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza. Od pierwszej chwili podporządkowana endecji prasa zamieszcza aluzyjne komentarze do wydarzeń, atakując już to komunistów, już to sanację, której zresztą dotyczy zdecydowana większość wypadów. Śmierć prezydenta gminy miejskiej to, co prawda, nie to samo, co śmierć prezydenta państwa, ale na bezrybiu i rak ryba. Aluzyjne komentarze ukazują się więc także daleko poza Łodzią, celują w nich zwłaszcza pisma stołeczne.

W tym przesyconym niezdrową atmosferą okresie „interregnum" na pierwszą osobę w Łodzi wyrasta wiceprezydent Wojewódzki. Korzysta z okazji, że drugi wiceprezydent, Groszkowski przebywa czasowo we Lwowie. Wojewódzki staje na czele komitetu pogrzebowego i zdobywa na pochowek prezydenta 29 tys. zł, uchwalone ciepłą raczką przez Magistrat. To pewnego rodzaju zadatek na kampanię wyborczą, w dniu głosowania może zwrócić się sowicie. Na przeszkodzie do zrealizowania dalekosiężnych planów staje jednak żona prezydenta. Życzeniem jej jest mianowicie pochowanie męża w Warszawie, gdzie znajduje się grób rodzinny Cynarskich. Ostatecznie jednak wdowa poddaje się (rada miejska podejmuje uchwałę o wyznaczeniu jej stałej miesięcznej emerytury w wysokości 1000 zł) i komitet pogrzebowy może przystąpić do działania.

W samą Wielkanoc, na dzień przed pogrzebem prezydenta, miasto zostaje zelektryzowane: morderców ujęto. Całe miasto błyskawicznie uczy się dwu nienawistnych nazwisk: Adam Walaszczyk i Kazimierz Rydzewski.

Po trzydziestu dziewięciu latach od tamtego dnia żona straconego Walaszczyka, Stefania, opowiada:

Adam nie wracał do domu dwie noce z rzędu, przyszedł dopiero w niedzielę nad ranem. Powiedział od progu: — Stefa, tutaj śmierdzi trup. Sam śmierdzisz po hulance, powiedziałam. Był jakiś dziwny, zalękniony. Nieprzytomnie powtarzał: — Trup, Trup śmierdzi.

Mieszkaliśmy na sublokatorce u Wojciechowskiego, na Bałuckim Rynku pod piątym. Szwagier gospodarza, niejaki Znajewski był wywiadowcą w policji. Wojciechowski pobiegł po szwagra i obaj przyszli z wódką. Adam, który lubił sobie dobrze pociągnąć, tym razem nie chciał pić. Powtarzał swoje: — Trup, Trup. Wtedy otworzyły się drzwi i wszedł komisarz Weyer oraz kilku policjantów. 2000 zł nagrody wzięli Znajewski z Wojciechowskim, resztę ludzie Weyera.

Po aresztowaniu zabójców ataki prasy endeckiej zaostrzyły się. „Kurier Łódzki", który częściowo należał do wiceprezydenta Groszkowskiego [2]) nazywa wprost półoficjalna „Republikę" „intelektualnym promotorem morderstwa". Zaciekłość „dwugroszówki" ma uzasadnioną przyczynę. Po pierwsze, zarówno Walaszczyk, jak i Rydzewski należeli do chrześcijańskiego związku zawodowego, będącego ekspozyturą chadecji. Po wtóre, za takiego promotora, jak się okaże za chwilę, mógł raczej uchodzić wiceprezydent Groszkowski, który miał zginąć zamiast Cynarskiego, czemu stanął na przeszkodzie wyjazd służbowy do Lwowa. Napaść „Kuriera" jest więc klasycznym przypadkiem „stawiania sprawy na głowie".

Już na pierwszym przesłuchaniu mordercy przyznali się do winy. Szczególnie miękki okazał się 24-letni Walaszczyk. Opowiedział szczegółowo koleje swego losu, o zwolnieniu z pracy w zakładach Towarzystwa Akcyjnego Poznańskiego, o robocie przy rozładowywaniu węgla na kolei, wreszcie o swym zatrudnieniu przy robotach brukarskich, zorganizowanych przez Magistrat. To było jego ostatnie stałe zajęcie. Zwolniony z pracy we wrześniu 1926 r. nigdzie nie mógł dostać roboty. Nie mógł też uzyskać zasiłku dla bezrobotnych, bowiem zabrakło mu jednego tygodnia stażu do uzyskania prawa do takiej pomocy. Ten tydzień miał ogromne znaczenie, był sprawą życia i śmierci. Walaszczyk żebrze u przełożonych o litość, prosi o zatrudnienie na ten jeden fatalny tydzień, ale nigdzie nie znajduje zrozumienia.

Wydeptuje więc schody i korytarze Magistratu, docierając do pozującego na demokratę wiceprezydenta Groszkowskiego. Nie wiedział, że Groszkowski poza na liberała werbuje ludzi do chadecji. On był już zwerbowany, należał do chrześcijańskiego związku, nie przedstawiał więc dla Groszkowskiego żadnej atrakcji, wiceprezydent postanawia jednak zabawić się nieco jego kosztem. Każe mu udać się do siedziby chadecji, do Domu Ludowego na ul. Przejazd, gdzie sam ma przybyć w określonej porze, ale o tym zapomina. Głodny, wodzony za nos Walaszczyk nie daje za wygrana: nachodzi gabinet. Ciągle ciepłe, pocieszające słówka bez pokrycia. Wreszcie przebiera się miarka i Walaszczyk zmienia taktykę. Dowiaduje się prywatnego adresu Groszkowskiego, nachodząc mieszkanie przy ul. Szkolnej [3]), skąd za każdym razem usuwa go służba. Oszukiwany i przepędzany staje się coraz bardziej agresywny. Ale Groszkowski wyjeżdża z Łodzi. Walaszczyk zaczyna teraz prześladować swymi prośbami samego prezydenta. Wyczekuje na Cynarskiego, dopada go na korytarzach, w momentach wsiadania do powozu, wszędzie, gdzie to możliwe. Cynarski każe mu napisać podanie z prośbą o audiencję, wtedy może go przyjmie. Rzecz w tym, że wniesienie podania wymaga dwuzłotowej opłaty. Taką sumą nie dysponuje ani Walaszczyk, ani jego rodzina. Tłumaczy to prezydentowi, ale Cynarski upiera się. Walaszczyk czyni ostatnią próbę: udaje się do mieszkania przy ul. Andrzeja 4. Jest tam wieczorem, w środę, 13 kwietnia, ale służba nie pozwala mu przekroczyć progu kuchni. I właśnie wtedy rodzi się w nim myśl odpłaty. Spotyka kolegę związkowego, Rydzewskiego, któremu zwierza się ze swych planów, licząc skrycie, że tamten zacznie go odwodzić od tego zamiaru. Ale Rydzewski ani trochę się nie oburzył. — Pójdę z tobą — powiedział bez namysłu.

W Wielki Czwartek rano spotkali się ponownie na Placu Wolności. Rydzewski kupił dla kurażu butelkę wódki, którą podzielił się z Walaszczykiem.

Walaszczyk trzyma się mężnie do momentu zakupienia sporych rozmiarów noża, ale potem rozkleja się, braknie mu siły woli, aby wykonać zamiar. Rydzewski jednak okazuje się dobrym diabłem-stróżem, podtrzymuje kolegę na duchu, nie pozwala mu odejść.

Słysząc kroki zstępującego z góry prezydenta, Walaszczyk załamuje się kompletnie, wie już, że nie potrafi go zabić. Dygoce w dziwnej, nerwowej gorączce. Spostrzega nagle, że ma Cynarskiego przed sobą, zupełnie odsłoniętego. Rydzewski uchwycił go za rękę. — Bij, no bij! — Rozkazująco szepcze Rydzewski.

Walaszczyk słyszy przeraźliwy krzyk prezydenta i oślepły z trwogi rzuca się do ucieczki. Po drodze przewraca jakąś kobietę, niemal wpada na zdumionego policjanta — nikt nie stara się go zatrzymać. Spostrzega, że jest w jakimś ogrodzie: zrzuca z siebie powalane krwią palto. Kilka domów dalej myje pod studnią ręce. Machinalnie zmierza w stronę domu. Na ul. Zawiszy do ubikacji wrzuca nóż. Wreszcie decyduje się pobiec do kościoła Najświętszej Marii Panny, ale ksiądz nie chce go wyspowiadać, każe mu przyjść dopiero w sobotę. On nie wie, czy soboty doczeka, biegnie więc do kaplicy Dobrego Pasterza, gdzie ksiądz Kwiatkowski dawał mu przed laty ślub. W kaplicy nie zastaje nikogo.

Rydzewski uzupełnia w śledztwie luki w zeznaniach Walaszczyka. Dzięki jego wyjaśnieniom udaje się policjantom odnaleźć kłódkę ze sklepiku Kutnera. W krzyżowym ogniu pytań prokuratora Szmidta i sędziego śledczego Taubenszlaka, Rydzewski przyznaje się, że trzymał Cynarskiego za rękę. Rydzewski traci ochotę do zeznań dopiero wtedy, gdy się dowiaduje, że sprawa zabójstwa rozpatrywana będzie przez sąd w trybie doraźnym. Ówczesny dekret o sądownictwie doraźnym przewidywał dla zabójcy urzędnika (oraz dla pomocników i podżegaczy) obligatoryjną karę śmierci.

Losy oskarżonych ważyły się: tryb postępowania mógł zasadniczo wpłynąć na wymiar kary. Sądownictwo doraźne nie znało uprzywilejowanej postaci zabójstwa, zabójstwa w afekcie, zagrożonego znacznie mniej surową karą. O tryb spierali się więc prokuratorzy, gazety i świadomi konsekwencji przypadkowi ludzie.

Zwyciężyła koncepcja surowsza, wniosek prokuratury o przeprowadzenie sprawy Walaszczyka i Rydzewskiego w trybie doraźnym z punktu widzenia prawa zredagowany został nienagannie.

Rozprawę wyznaczono na 5 maja w godzinach porannych. Pomimo wprowadzonego rygoru posiadania zaproszeń na rozprawę, sala sądu okręgowego przy ul. Żeromskiego nie mogła pomieścić chętnych. Wśród publiczności przeważały kobiety.

Jako pierwszy zeznawał oskarżony Walaszczyk. Szczerość jego zeznań wzruszyła publiczność i ostudziła nieco krwiożercze zapędy gawiedzi. Walaszczyk parę razy wtrącił nieco od rzeczy, że on żyć już nie może, co ostatecznie przechyliło sympatie publiczności na jego stronę. Najgorliwszym zwolennikom kary śmierci zrobiło się wstyd.

Jako drugi zeznawał Rydzewski, zaskakując wszystkich odwołaniem swych zeznań złożonych w śledztwie. Miały one być wymuszone przez policjantów, którzy biciem i znęcaniem się nad oskarżonym wymusili przyznanie. Rydzewski podkreślił, że jest niewinny i został aresztowany tylko na skutek pomówienia Walaszczyka, motywów tego pomówienia nie mógł jednak podać.

Powiedzmy sobie, zeznanie Rydzewskiego złożone przed sądem nie było prawdziwe, albo też prawdziwa była jego cząstka: może mu i przetrzepali skórę policjanci, o wymuszeniu przyznania nie mogło być jednak mowy. Przy tym, jak pamiętamy, Rydzewski uzupełnił w śledztwie luki w zeznaniach Walaszczyka, musiał więc znać okoliczności równie dobrze jak główny oskarżony. Zmiana linii obrony Rydzewskiego wynika bynajmniej nie tylko stąd, że był recydywistą i poznał już dobrze machinę sprawiedliwości, wiedział więc jak się ustawić do sprawy. Powody były o wiele poważniejsze: otóż w międzyczasie znaleźli się świadkowie alibiści gotowi do złożenia odciążających zeznań. Zamknięty w areszcie Rydzewski nie wiedział, że ma podobnych świadków, których listę wydrukował „Kurier Łódzki", co zmusiło prokuratora Szmidta do stanowczego dementi. Po przydzieleniu mu obrońcy Rydzewski wiedział już na co może liczyć i zmienił taktykę. Tymi świadkami-alibistami okazali się koledzy Rydzewskiego z pracy na plantacjach miejskich, członkowie chrześcijańskiego związku. Ta nieco spóźniona akcja rozpętana pod opiekuńczymi skrzydłami chadeckiego „Kuriera", jest dowodem powiązań Rydzewskiego z chadeckimi kacykami, choć trudno przedstawić rodzaj tych związków.

Przed sądem przewinęło się 37 świadków oskarżenia i obrony. Szczególnie rewelacyjnie zapowiadały się zeznania wiceprezydenta Groszkowskiego, ale publiczność zawiodła się na nich zupełnie. Wiceprezydent Groszkowski bez przerwy zasłaniał się brakiem pamięci. Odpowiedzi jego były tak wykrętne, że sprawiał wrażenie oskarżonego, a nie świadka oskarżenia.

Sąd wezwał na rozprawę biegłych lekarzy, którzy mieli ustalić, czy oskarżony Walaszczyk działał w afekcie patologicznym, podczas pośpiesznie prowadzonej rozprawy lekarze nie mogli jednak przedstawić stanowczej opinii. Pomimo poważnych wątpliwości sąd nie zarządził oddania Walaszczyka pod obserwację, zignorował również oświadczenie jego matki o występujących u oskarżonego atakach epileptycznych.

Wreszcie przyszła kolej na głosy stron. Prokurator Krychowski łatwo rozprawił się ze świadkami-alibistami, którzy doskonale, z minutowym rozkładem zajęć, wiedzieli co robił oskarżony w dniu zabójstwa, nie umieli sobie jednak przypomnieć ani jednego momentu z dnia poprzedzającego zabójstwo. Najmocniej przekonało publiczność o nieprawdziwości zeznań alibistów, ujawnienie przez prokuratora na rozprawie, że żaden z tych świadków nie posiada zegarka, precyzja ich musiała więc być co najmniej naciągnięta.

Wyrok zapadł dnia następnego. Na jego mocy Adam Walaszczyk został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie, sprawę Rydzewskiego zaś przeniesiono do zwykłego trybu postępowania [4]).

Obrońcy nie zostało nic innego, jak zatelegrafować do prezydenta Rzeczypospolitej Mościckiego z prośbą o łaskę dla skazanego, wyroki sądu doraźnego nie podlegają bowiem zaskarżeniu. Wieczorem prezydent przysłał telegraficznie odpowiedź odmowną.

Walaszczyka wiadomość o skazaniu na śmierć nie wzruszyła. W celi więzienia na Kopernika, poprosił o dwadzieścia paczek papierosów, które palił jeden za drugim do przyjścia plutonu egzekucyjnego. W nocy z 6 na 7 maja, o godz. 3 został przewieziony na Polesie Konstantynowskie, gdzie żołnierze 28 pułku piechoty oddali do niego jedną celną salwę.

W kilka miesięcy później chadecja przegrała samorządowe wybory.

Rys. Renato Guttuso

---

[1]) Dziś ul. Andrzeja Struga.

[2]) Wiceprezydent Groszkowski był z zawodu aptekarzem. O jego mentalności świadczy najlepiej następujący anons reklamowy z r. 1920: „Apteka i laboratorjum farmaceutyczne, Fabryka wód mineralnych sztucznych W. Groszkowskiego, Łódź, Konstantynowska 15, poleca leki krajowe, zagraniczne oraz własnego wyrobu: „Asymol" radykalny środek na wyguślenie łupieżu i porost włosów, „Krem Rolin" radykalny środek na piegi i pryszcze".

[3]) Dziś ul. R. Mielczarskiego.

[4]) W późniejszym czasie Rydzewski skazany został na karę śmierci.

Wykaz ważniejszej literatury: Czasopisma: „Kurjer Łódzki" 1927, „Głos Polski" 1927, „Republika" 1927, „Dziennik Zarządu m. Łodzi" 1923—1927. Inne źródła: „Księga pamiątkowa dziesięciolecia samorządu miasta Łodzi", „Rocznik statystyczny m. Łodzi" 1929.

JERZY DARNAL

NOWOŻEŃCY?

Ukończone 21 lat to wiek zdolności do zawarcia związku małżeńskiego, tyle ich też liczy sobie łódzki ośrodek akademicki. Można więc spojrzeć na tegoroczne juwenalia urządzone pod hasłem „Święta Wiosny" jako na swoiste zaślubiny studentów z Łodzią. Tym bardziej, że bodaj po raz pierwszy, środowisko akademickie wzniosło się z tej okazji ponad igrce i harce, które są zapewne znakomitą przyprawą uroczystości, nie mogą wszakże zastąpić jadła i napoju.

Trzymając się kulinarnych porównań zauważmy od razu, że trzydniowy serwis dań był bardzo urozmaicony. Zaczęło się to wszystko od wizyty, jaką wzorowi studenci Łodzi złożyli Edwardowi Kaźmierczakowi, Ojcu Miasta i absolwentowi Uniwersytetu Łódzkiego w jednej osobie. Tego samego dnia akademicy urządzili kilka naukowych seminariów, przedstawiając się od strony swych zainteresowań, które bez przesady możemy nazwać poważnymi.

Dopiero potem nastąpił dzień właściwego wyjścia studentów w miasto. Tak należy pojąć akcję prezentowania społeczeństwu Łodzi spektakli studenckich teatrów, których mamy wbrew pozorom sporo, nie tylko zasłużonego „Pstrąga", akurat zresztą niedysponowanego po powrocie z Francji. Zastąpiły go więc „Cytryna", „Studencki Teatr Uniwersytetu Łódzkiego" i „Forum". Organizatorzy odważyli się na produkcje artystyczne bezpośrednio w środowiskach fabrycznych (między innymi w Łódzkiej Wytwórni Win, gdzie pewnie nie obeszło się bez poczęstunku), co należy uznać za pomysł wart nie tylko pochwały, ale i kontynuacji. Doświadczenie podszeptuje mi jednak, że na tę kontynuację będziemy pewnie musieli poczekać do przyszłych juwenaliów, a więc okrągły rok.

Swój dorobek zaprezentowali też studenci łódzkich uczelni artystycznych, na wesoło plastycy, z powagą zaś, jako przystoi przyszłym Wajdom i Kawalerowiczom, filmowcy. W związku z tym ostatnim felietonista nie może powstrzymać się od westchnienia. Znamy wszyscy kłopoty związane z dystrybucją profesjonalnej produkcji filmów krótkometrażowych, zgodnie więc z prawem Parkinsona należałoby się spodziewać, że przynajmniej etiudy studenckie znajdą zielone światło po drodze do naszych kin. Przyjdzie nam orzec, że parkinsonizm stosować można na pewniaka tylko w odniesieniu do kapitalistycznej bazy społeczno-ekonomicznej. Etiudy studenckie widzi się bowiem jeszcze rzadziej niż krótkometrażowe filmy profesjonalistów. Wprawdzie parę lat temu pod opiekuńczymi skrzydłami „Głosu Robotniczego" odbył się quasi-festiwal studenckich etiud, ale na jego powtórzenie na razie nie zanosi się zupełnie. Pokaz filmowy w Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców był więc jedyną okazją dla zorientowania się, co sobą przedstawia młodociane pokolenie reżyserów i operatorów.

Żałuję, że nie mogę zająć się treścią artystycznych propozycji studenckich, ale nic tu zrobić się nie da. Organizatorzy, pewnie i słusznie, zlekceważyli moją skromną osobę i nie przysłali mi zaproszenia, a „na waleta" chodzić już nieco od wykłem. Przyjdzie mi więc poprzestać na tym, co sam widziałem, w czym sam brałem udział i w czym wreszcie chętnie bym udział wziął zważywszy, że w kulminacyjnym punkcie obchodów „Święta Wiosny" na stopniach teatru przy Placu Dąbrowskiego stałem tuż obok ogromnego gąsiora z wymownym napisem: „Miód dla studentów od Ojców Miasta".

W sobotę, dnia 14 maja już od samego rana spotkać można było na mieście barwnie ubranych młodzieńców i panny, w godzinach popołudniowych na deptaku przynajmniej „przebierańcy", jak ich szybko ochrzcili przechodnie, stali się co najmniej częstym elementem ludzkiego, ruchomego pejzażu. Nic jednak nie zamionowało jeszcze tej feerii barw i łamańców, których świadkami staliśmy się w kilka godzin później.

Z akademicką punktualnością około godziny 16, barwny korowód wyruszył sprzed budynków Politechniki Łódzkiej wypełniając już po chwili poczciwą Piotrkowską wrzawą, młodością i napisami niesionymi na kijach. Napisy nie grzeszyły na ogół pomysłowością, co jest zrozumiałe wobec zbliżającej się sesji egzaminacyjnej, która zwykle wysysa ze studenta ostatnie soki. Przemawia to za tezą, że studencki ludek już po trochu obkuwa, nie mógł więc na poczekaniu wymyślić dowcipnych sloganów. Najbardziej frywolny transparent niesiony przez dziewczynę głosił wszem i wobec, że „Towar macany należy do macanta". W pochodzie przeważały oferty matrymonialne w rodzaju rymowanki „Bierz fizyka bez ryzyka" i kalamburu „Bierz matematyka bez różniczek". Niedostatki w zakresie słowa pisanego wynagrodziły jednak rozmiary studenckiego korowodu.

Fot. E. Kudaj

Można bez przesady powiedzieć, że przez miasto przemaszerowała blisko połowa studenckiego stanu posiadania, który z „zaoczniakami" jest niedaleki 20 tys. osób

Domyślny czytelnik wie już doskonale, że przez miasto przeszedł nie jakiś abstrakcyjny stan posiadania ale konkretni studenci. Niektórzy przejechali: na platformach ciężarówek i na wysłużonych siedzeniach ostatnich łódzkich dorożek. Clou tych przejażdżek stanowiły popisy jakiegoś anonimowego dżokeja na koniu, którego zresztą zbesztano przez megafon zainstalowany przed teatrem.

Przedstawicieli władz partyjnych i miejskich w osobach Józefa Spychalskiego, Edwarda Kaźmierczaka i Hieronima Rejniaka studenci powitali gromkim „Sto lat", pieśnią masową dopasowaną do jubileuszu obchodów Tysiąclecia Państwowości Polskiej. Ze względu na bliski już zachód słońca akt przekazania studentom władzy w mieście odbył się bardzo uroczyście, ale dość pośpiesznie. Po intronizacji zaś studenci co żywo pognali w stronę osiedla akademickiego na ul. Lumumby, gdzie orkiestry stroiły już instrumenty do ostatniej w tym roku szkolnym prawdziwie beztroskiej zabawy przed sesją.

Trzeba przyznać, że liczni widzowie z sympatią obserwowali studenckie kawały. Miasto w ciągu krótkiego okresu władzy studentów nie zgorzało, nie zanotowano nic szczególnego w kronice wypadków, nie taki więc diabeł straszny, jak go malują, nawet gdy chodzi po ulicach bez koszuli.

Łódzkie wyższe uczelnie spełniają swe podstawowe zadanie dla naszego miasta i sąsiednich regionów „produkując", że użyję tu tego określenia, dobrej jakości inteligentów. Jest to oczywiście bardzo dużo, ale nie wszystko na co stać studentów i miasto. Są bowiem całe miesiące, kiedy, z obustronnej chyba winy, związki akademickiej młodzieży z Łodzią ulegają poważnemu rozluźnieniu. I wtedy trzeba czekać na specjalne uroczystości, aby przypominać je na powrót. Juwenalia zaś powinny te związki nie tylko odnawiać, ale i wzbogacać.

DZIEWCZĘTA NA STANCJI – PROBLEM PALĄCY

Dalszy ciąg ze str. 1

dzielaniem miejsca w bursie — trzeba przypuścić olbrzymi odsiew szkolny właśnie w tej grupie młodzieży.

Zarysowywała się wyraźna linia, łącząca te trzy punkty: stancje u krewnych — dziewczęta ze wsi — olbrzymi odsiew. Postanowiłem sprawdzić. Wybrałem grupę najliczniejszą, czyli dziewczęta z klasy pierwszej.

STO DZIEWCZĄT

Z przeprowadzonych rozmów w szkołach i wywiadów na stancjach wyłania się dość smutna rzeczywistość.

Łódź jest miejscem szkół zawodowych o dość rzadkich specjalnościach, które chętnie wybierają dla swoich dzieci rodzice ze wsi. M. Falski, analizując skład socjalny szkół średnich, trafnie określił technika jako typ szkoły coraz bardziej chłopskiej. Oczywiście, wyłania się kwestia pomieszczenia. Szkoły łódzkie, co prawda, informują nowo wstępujących że na internat liczyć nie mogą, część rodziców nie bierze jednak zbyt poważnie tego zastrzeżenia — skąd mogą wiedzieć, że łódzkie szkoły nie mają internatów a rozporządzają niewielką ilością miejsc we wspólnych bursach. Zapisują więc dzieci, a później dopiero szukają dla nich mieszkania. I często nie znajdują go. W jednej ze szkół, przy dwóch kandydatach na 1 miejsce do klas pierwszych, 20 przyjętych zrezygnowało na początku roku szkolnego z braku lokum. Najchętniej lokują dzieci u krewnych. Często wybierają nawet szkołę ze względu na możliwość umieszczenia dziecka u rodziny. 76 proc. dziewcząt z klasy pierwszej mieszka właśnie u rodziny i niezależnie od stopnia pokrewieństwa płaci za swoje utrzymanie.

Kto przyjmuje dziewczęta na mieszkanie? Przeważnie są to rodziny ścieśnione (43 proc. lokali jednoizbowych i 51 proc. — dwuizbowych), obarczone małymi dziećmi, rodziny, w których kobieta pracuje zarobkowo. Siłą rzeczy dziewczyna obarczona zostaje rolą niańki lub pomocy domowej; zmuszają ją zresztą do tego okoliczności: raz trzeba przypilnować dzieci, innym razem przynieść węgla, napalić w piecu, ugotować, kupić coś — i obowiązków przybywa. Czasem dzieje się to za jakąś obopólną ugodą, przy zniżonej opłacie, o czym obie strony niechętnie mówią; częściej jednak następuje przez stopniowy wzrost wymagań i wyraźnie interesowne nastawienie, rzecz dziwna, właśnie ze strony krewnych. Nie wystarcza już 400—600 zł miesięcznie oraz paczki żywnościowe ze wsi, rośnie niezadowolenie, że dziewczyna nie może podołać wzrastającym obowiązkom domowym — a może i na skutek poczucia odpowiedzialności za dwójki, które przynosi ze szkoły? Zaczynają się skargi do rodziców, które kończą się zazwyczaj powrotem dziecka na wieś.

A dziewczęta nie umieją się bronić. Przyzwyczajone do trudnych warunków, wymagania mają niewielkie i chętnie pomagają w domu. Niektóre z nich noszą jeszcze niemodne stylonowe bluzki i warkoczyki, są onieśmielone i o swoich ciociach mówią per „pani". Przypuszczam, że nie zdają sobie nawet sprawy z trudności własnego położenia i nie skarżą się w listach, przekonane, że tak być powinno, choć odosobnienie jest przykre i boli każda uwaga podchwytująca odmienność zachowania się czy stroju. Nastawione są na uporczywą naukę — a otrzymują dwójki. Dlaczego? Z pewnością nie decyduje tu opóźnienie środowiskowe i braki wyniesione z wiejskich szkół. Decydujące są trudne warunki w jakich te dziewczęta się znalazły. Teze te niech zilustruje kilka liczb: 83 proc. dziewcząt pomaga w gospodarstwie domowym, z tego 31 proc. pomaga bardzo dużo — wszystkie prawie u krewnych. Tylko 46 proc. ma oddzielne łóżko do spania a zaledwie 38 proc. oddzielne miejsce do nauki. Niemal wszystkie narzekają na trudności w odrabianiu lekcji.

Nic dziwnego, że w takich warunkach poczucie pietrzących się trudności wzrasta i przychodzi moment załamania: dziewczyna nie wierzy, że uda się uzupełnić braki, poprawić dwójki i przełamać obojętny, pełen różnych wymagań stosunek otoczenia — traci wiarę we własne siły i wraca na wieś z poczuciem klęski. Nie są bowiem prawdziwe sugestie niektórych publicystów, jakoby młodzież ta często powtarzała klasę. Nie pozwalają na to ani warunki ani praktyczny zmysł rodziców. Większość dziewcząt pochodzi z rodzin mało- i średniorolnych o liczebności powyżej czterech osób. Gdy oceny szkolne nie rokują dalszych sukcesów w nauce, pomoc rodziny zostaje cofnięta i dziewczyna wraca na wieś. Żadna z badanych dziewcząt nie powtarzała klasy. Dopiero na tym tle zrozumiałe stają się męczące obawy dziewcząt i ich zawziętość w nauce.

Bywa i tak jak w przypadku J. A., że pomoc rodziców kończy się po paru miesiącach, gdyż ojciec doszedł do wniosku, że córce niepotrzebna jest szkoła. Dziewczynka ukrywała ten fakt dokąd się dało, aż po dwóch miesiącach niepłacenia, zastała drzwi zamknięte, a właścicielka stancji zatrzymała jej rzeczy. Chwilowe schronienie znalazła u koleżanki. Kiedy z nią rozmawiałem, przebywała nie meldowana już w trzecim mieszkaniu, nie mając nadziei na stypendium, gdyż, jak wyjaśniono w szkole, stan finansowy rodziny nie pozwala na to. Trzeba tu dodać, że opieka materialna rodzin biedniejszych bywa niesystematyczna, co ma bezpośredni wpływ na odnoszenie się gospodarzy stancji do dziewcząt i odbija się ujemnie na ich postępach w nauce.

Przytoczone liczby odnoszą się do 103 dziewcząt z 17 klas I kilku łódzkich techników. Na początku roku dziewcząt było 109 lecz już po pierwszym okresie sześć z nich powróciło na wieś. Miały po trzy i więcej ocen niedostatecznych. Wszystkie mieszkały u krewnych.

OPIEKA WYCHOWAWCZA

Nasuwa się nieodparcie pytanie: no dobrze, lecz przecież ktoś tymi dziewczętami interesuje się jednak; jeśli już nie dom, daleki i rzadko odwiedzany, nie środowisko na stancji, obojętne a często wyrachowane — to szkoła, wychowawca, nauczyciele, koledzy? Formalnie rzecz biorąc nie jest najgorzej pod tym względem. W ciągu pierwszego okresu rozmowy na temat stancji przeprowadzili wychowawcy z 53 proc. uczennic, odwiedzając stancje w paru przypadkach (3 proc.). 31 proc. stancji wizytowały trójki klasowe rodziców.

A jednak dziewczęta, przynajmniej te w I klasie, czują się osamotnione i wyraźnie trzymają się na uboczu. Koleżanek miejscowych nie mają, nigdzie nie chodzą, przesiadują na stancji i nie tyle uczą się, ile próbują się uczyć. Tylko nieliczne korzystają z instytucji kulturalnych poza szkołą (4 proc.), nieliczne należą do organizacji młodzieżowych, choć aż 32 proc. uczęszcza na komplety religijne. Faktycznie pozostawione są samym sobie, zagubione w dużym mieście, w nowym środowisku. Nic dziwnego, że są nieufne i wykazują szereg obronnych odruchów.

Większość wychowawców, jak się zdaje, mimo jednej czy dwóch przeprowadzonych rozmów, niewiele wie o tych dziewczętach. Nie jest chyba przypadkiem, że wychowawcy 6 dziewcząt, które opuściły szkołę już po pierwszym okresie nauki, nie mogli o nich nic więcej powiedzieć ponad lakoniczne oceny w rodzaju: „niezdolna", „nie nadawała się", „to było do przewidzenia". Ci sami wychowawcy o innych słabszych dziewczętach wyrażali się podobnie „nie utrzyma się". Oceny te zbiegają się z tymi, które można było usłyszeć od gospodarzy opuszczonych stancji, w niektórych przypadkach bliskiej rodziny: „leń", „odszczekiwała się", „panie, gdzie jej było do nauki — krowy paść, to tak". Zastanawiająca jest ta obojętność a nawet jakaś niechęć — a może głuszone w ten sposób poczucie odpowiedzialności?

JAK POMÓC?

Stancje są u nas zjawiskiem przejściowym, wywołanym wielkim rozwojem szkolnictwa zawodowego i napływem do szkół młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej. Przed wojną, gdy Łódź posiadała ok. 9 tys. uczniów szkół zawodowych, problemu tego nie było — zjawił się wraz z rzeszą przeszło 70 tys. młodzieży uczęszczającej obecnie w Łodzi do tego typu szkół. Dokąd jednak nie zapewnimy całej młodzieży miejsca w internacie problem musi być, o ile to możliwe, łagodzony.

Sprawę można rozpatrywać w aspekcie materialnym lub wychowawczym. Zazwyczaj przeważa aspekt pierwszy — poprawy warunków życiowych. Stawia się słuszne postulaty, by zmniejszyć do minimum ilość stancji, rozszerzając do maksimum pojemność internatów — by przydzielać młodzieży na stancjach stypendia na równi z młodzieżą mieszkającą w internatach, by umożliwiać jej spożywanie posiłków w stołówkach szkolnych, by rejestrować i przydzielać stancje, kontrolować je itp. Niektóre z tych postulatów są realizowane w naszym mieście. Bursy szkolne, przepełnione do ostatecznych granic umożliwiają młodzieży spożywanie posiłków a Kuratorium Szkolne prowadzi wykazy stancji. Nie są to jednak sprawy proste. Tak np. co do stancji u krewnych, nie ma podstawy prawnej do kontroli ze strony władz oświatowych, chyba w drastycznych przypadkach. Jedyne zarządzenie regulujące sprawy stancji, które ukazało się w grudniu 1964 r. w Monitorze Polskim, wyraźnie wyłącza spod kontroli stancje u bliższej i dalszej rodziny, choćby przyjmowała z tego tytułu stałe opłaty.

W gruncie rzeczy jednak, nie mogąc radykalnie pomóc młodzieży na stancji przez zapewnienie jej internatu, niewiele możemy dla niej zrobić. Dlatego o wiele ważniejszy wydaje się aspekt wychowawczy całej sprawy. Młodzież ta żyje, jak próbowałem wykazać, w osamotnieniu i obojętności, w poczuciu piętrzących się trudności. Poprawienie tej atmosfery, włączenie tej młodzieży do życia grupowego, zapisanie do kółka zainteresowań, nauczenie korzystania z biblioteki, świetlicy, klubu młodzieżowego — oto prawdziwa pomoc. A przede wszystkim stałe i serdeczne zainteresowanie, pomoc w uzupełnianiu braków i kiedy trzeba, interwencja na stancji — aby nie spóźniona. Tego nie załatwi rozmowa na początku roku czy nawet wizyta trójki klasowej, która mierzy mieszkanie i zapisuje personalia gospodarzy. Kto tak może pomóc? — Chyba tylko wychowawca. I jeszcze jedno: uwaga na stancje u krewnych.

DARIUSZ GREULICH

Rys. M. Kapuścińska

ABELARDO CASTILLO

KRÓLIK

Nie przyjdzie. To kłamstwo, co mówią o chorobie i o tym, że potrwa parę miesięcy. Ciocia mi powiedziała, wiem jednak, że nie przyjdzie. Z tobą mogę o tym mówić, bo ty znasz się na rzeczy. Zawsze znałeś się na rzeczy. Początkowo wydawało mi się, że jesteś jak pociąg lub jak wrotki, to znaczy zabawką i pewnie nie tak dobrą, jak wrotki, bo gałgankowy królik podobny jest, ostatecznie, do lalki, która bawią się dziewczynki. Ale nie ty. Jesteś najlepszym królikiem świata, o wiele lepszym od wrotek. A lalki mają czerwone policzki i są pucołowate. Mają idiotyczny wyraz twarzy, nic więcej.

Dla mnie to nieważne, że jej nie ma. Cóż mnie to obchodzi. I nie dlatego przyszedłem do tego kąta, że jestem smutny, przychodzę, bo oni łażą za mną, chcesz tego, chcesz owego i tylko pieszczoty, jakbyś był chory i kładą ci rękę na czole, bo im się wydaje, że wujkowie i inni są tylko na wypadek choroby i wtedy wszyscy cię kochają. Dlatego przyszedłem, a także z powodu tego głupiego okularnika Julka, który ma osiem lat i nosi okulary, więc uważa się za ważniaka, a jest pawiem, co widzi tylko koniec swego nosa i zawsze się bije. Śmieje się, że bawię się z tobą, patrzcie-no go, mówi — patrzcie-no, jaki z niego dzidziuś, co to się bawi w usypianie. Co on tam wie. Dorośli też się mylą. Zwłaszcza matki. Jasne, że biją wszystkich maluchów i to nie ma znaczenia, ale swoją drogą muszą się zawsze bić. Idziesz sobie spokojnie i mówisz: popatrz co zrobiłem, myśląc, że wszystko w porządku i nagle klaps. Niczego ci nie wytłumaczą. A innym razem tylko pieszczoty, jak obecnie, albo dają ci prezent, bo im tak wypada, chociaż ani to Gwiazdka, ani urodziny.

Przypominam sobie, jak cię mama przyniosła. Początkowo byłeś taki duży jak ja i biały, bielszy niż teraz, bo teraz to ty jesteś brudny, ale mimo to jesteś najlepszym królikiem z wszystkich królików, bo znasz się na rzeczy. Jak mi ciebie przyniosła też pamiętam, weź, powiedziała, kupiłam ci to w Olavarria. Kuzyn Juan Carlos, który mieszka w Olavarria, nigdy mi się zbytnio nie podobał: ma wąsiska a poza tym nie jest takim kuzynem jak na przykład Julek, który jest tylko trochę większy ode mnie. Należy do takich kuzynów czyichś rodziców, o których nigdy nie wiadomo, czy są wujkami czy nie. Było to wielkie pudełko, a ja myślałem, że w nim jest nadzwyczajny prezent, coś z motorem, jak samolot tego małego Rosjanina, lub coś podobnego. Byłem jednak naiwny. Gdy je rozwiązałem, ty byłeś w środku, w papierach. Nie podobał mi się królik. Mama wtedy powiedziała, dlaczego jestem taki głuptasek, a ja jej odpowiedziałem, że mi się to wcale a wcale nie podoba, popatrz jaką ma głowę. Wtedy powiedziała: niewdzięczny jak twój ojciec. Potem, gdy tata wrócił z pracy, dalej była zła i poszło o to, że była miesiąc w Olavarria, daleko od taty, i że tata zawsze mi mówi: napisz do swojej matki, że dziwimy się jej bardzo i żeby szybko przybyła, ale mnie się zdaje, że to on najbardziej się dziwi. I tej nocy bili się. Zawsze się biją. A właściwie to tata nie. On nic nie mówi i idzie sobie ze mną do Bramy lub na placyk Martina Fierro, o którym tata mi powiedział, że był gauczem.

Tatce także nigdy się nie podobał kuzyn Juan Carlos.

A ja nie zabieram ciebie na placyk, bo się boję, że chłopcy będą się śmiać. Co oni o tobie wiedzą. To nie ich wina, jasne, trzeba ciebie poznać. Ja, z początku, także wyobrażałem sobie, że jesteś taka sobie zabawka, jak drewniane koniki, lub psy, które nie są najlepszymi zabawkami. Ale potem co innego, potem zdałem sobie sprawę, że nie jesteś jak Pinocchio, o którym opowiadała mama. Mama opowiadała bajki, zwłaszcza rano, kiedy nie była jeszcze zirytowana. W końcu ty i ja zostaliśmy przyjaciółmi, lepszymi niż prawdziwi przyjaciele, to znaczy chłopcy od sąsiadów, którzy, gdy nie umiesz grać w pelotę, zaraz wołają za tobą: sztywna noga, idź, gdzie pieprz rośnie, i brzydkie słowa, i nawet przy dziewczynkach na ciebie krzyczą, a to jest najgorsze. Pewnego razu powiedzieli mi, dlaczego nie przyprowadzasz swego braciszka, żeby sobie skrócili drogę, i śmieli się. O tobie mi mówili, o moich zębach, które są podobne do twoich. Zdaje się, że ciebie wyciągnęli z powodu zębów.

Wszyscy przyszli, gdy miałem zapalenie płuc. Same czułości, bo uważają, że ten ktoś jest berbeciem lub mazgajem. Pewnie myślą sobie bóg wie co, podobnie jak na Gwiazdkę i tak dalej, gdy wszyscy udają, że nie wiedzą, że to na niby. I chociaż Julek nic mi nie powiedział, na jedno wyszło, ale Julek, ten smarkacz, po co miałby przyjść, by mi powiedzieć. Lepiej by już było, żeby przeklinał lub jak zawsze szukał zaczepki, a nie, żeby powiedział to świństwo. Sam bym to zauważył. Tatko jest taki, jakby się upił, i mówi, że mi to zrobi. A wtedy oni proszą, żeby się uspokoił i że ja patrzę. Przyszło mi więc do głowy, żeby porozmawiać z tobą, bo ty rozumiesz innych i jesteś najlepszym królikiem świata, o wiele lepszym niż pociąg i nie wymieniłbym ciebie nawet na taki samolot, jaki ma mały Rosjanin, bo gdyby pokłócili się, że ja ciebie tak bardzo pokocham, nie przynieśliby ciebie w podarunku, o nie.

Dlatego przyszedłem. Nie, żeby beczeć jak dziewczynka, że ona jest chora i nie może wyjść w taką pogodę. Bywają gorsze kłamstwa.

Mały Oskar także nie płakał. Tego dnia przyszło wielu ludzi, ale to było co innego. W dużym pokoju była skrzynia umarłych dla mamy małego Oskara. Była biała. Zdawało się, że Oskar niczego nie rozumie, patrzył na nas chłopców, ale nie płakał, a mówili mu, że jego mama jest w niebie. A to co innego. Moja mama nie jest w niebie, lecz w Olavarria. Julek, ten wstrętny smarkacz, powiedział mi to, ale prawdopodobnie zachorowała gdzie indziej i dlatego nie może tu być. Wszyscy tak mówią. Wszyscy z wyjątkiem kuzyna Juana Carlosa, którego też nie ma. Nawet lepiej, że go nie ma, bo go nigdy nie lubiłem, tym bardziej, że mi mama mówiła, musisz go bardzo kochać, a gdy raz byłem w Olavarria nie pozwalałem im, żeby byli sami. Idź, pobaw się w patio, zawsze chcieli, żebym bawił się w patio: mama też. A potem przynosi się w prezencie królika, aha. Im się wydaje, że nikt nie wie, o co chodzi, jak teraz, bo jeśli byłaby chora, nie wiem po co doradzają tacie, a on patrzy na mnie i patrzy i mówi do mnie: synku, synku. Czasem mam ochotę odpowiedzieć mu coś, ale nic mi nie wychodzi, bo coś mi gardło ściska. Po to przyszedłem. A nie żeby sobie spokojnie popłakać, zanim to zauważą. Przyszedłem tak sobie, żeby z tobą pogadać, bo ty rozumiesz innego i jesteś najlepszym królikiem z wszystkich, najlepszym w świecie z tymi swoimi długimi uszami i z dwoma wystającymi zębami, jak ja, gdy się śmieję.

Zdaje mi się, że już nigdy w życiu nie będę się śmiał. Tak mi się zdaje.

A ostatecznie co kogo obchodzą czyjeś zęby, bo ja ciebie i tak kocham, a kocham cię tak sobie, bo mi się podoba. Nie dlatego, że ona ciebie przyniosła i lepiej niech nie przychodzi. Niechby umarła. Ja widzę, że twoja głowa nie jest ładna, o nie. A jak zechcę, to zobaczymy, czy cię nie wyrzucę na śmietnik, bo ostatecznie nigdy mi się nie podobałeś. Najlepiej jeszcze wyjdziesz na tym, gdy cię rozszarpię na kawałki, porozrzucam zęby, uszy i te szklane, czerwone oczy, takie głupie, tak, i nie będzie mi się chciało płakać ani trochę, wiesz, i jeszcze wyrwę ci nogę i całego opluję, a tobie będzie się zdawać, że płaczę, ale ja nie płaczę, chociaż podeptałbym cię na ziemi, tak, choćby ci się wysypały wszystkie trociny z brzucha i choćby głowa ci zwisała, bo ja mam pociąg i wrotki i...

Tłumaczył z hiszpańskiego:
EDWARD MARTUSZEWSKI

WACŁAW MROZOWSKI

Powrót

Wracam z rejsu sztormem stargany,
bosman wieczny, liryczny łowca
wyrzucony na brzeg oceanu
jak dziewczyna w ramiona chłopca.

Wracam wierny miastu i ziemi
zapomnijcie włóczędze czas gromu.
Tu był dom mój, więc wracam do domu
choć nie czeka nikt w ciemnej sieni.

Nie zmieniło się wiele dokoła
Ludzie inni. Wieje od nich chłodem
po imieniu nikt mnie już nie woła,
nie wysyła do studni po wodę.

Starych topól poszczerbione rzędy
rozkraczyły się w naszym ogrodzie
szczerząc do mnie swe spróchniałe zęby,
jak psy nocą, gdy podchodzi złodziej.

Jednym skrzydłem jak ptak zraniony
nieprzyjaźnie wiatrak potrząsa,
krzewy tarnin w cierniowych koronach
kłują w oczy i pieką jak żądła.

Wracam z dziwnej odkrywczej podróży
stary bosman, liryczny alchemik
wyrzucony na brzeg czasu burzy
jak na trumnę grudą świeżej ziemi.

Monolog kamienny

Wiktorowi Weigtowi

...może dna wulkanu,
może polodowcowym tylko jestem śladem?
A może stopem czasu z wodą oceanu?
Może szczerbą moreny? Dzieckiem Galapagos?
Sercem ludzkim? Dziejów materią bezkształtną?

Geolog mię określił i nazwał. Cóż więcej
może człowiek w epoce atomu? Wpatrzony
w międzygwiezdne przeloty swych myśli i ręce
trzymając na guziku drzemiących wyrzutni?

Więc trwam w tragicznej ciszy i niezmiennym
kształcie
w oczekiwaniu chwili, co miliony lat
biegnie z najdalszej gwiazdy, w pieśni o rybałcie,
aby spopielić świat.

Na gruzach dzień tworzenia zaczną ocaleni
szukając się wzajemnie wśród pustki kosmosu,
będą mijać epoki na zwęglonej ziemi,
ktoś znów przypomni sobie, że jestem kamieniem
i z serca mi wykrzesze iskrę —
nowe życie...

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

List P. Mieczysława Michała Szargana — jaki miałem możność przeczytać na łamach Waszego pisma („Odgłosy" nr 17, z dn. 1. V. br.) — bardzo mi się zrazu spodobał, a przede wszystkim dlatego, że Autor listu (świetny skądinąd Poeta, który potrafi sobie radzić z każdym tematem) słusznie nawołuje: „więcej odpowiedzialności za słowo drukowane".

List, o którym mowa — podobałby mi się jeszcze bardziej (także jako „prawdziwa informacja" przeznaczona dla Czytelnika wcześniej wprowadzonego w błąd artykułem K. Frejdlicha), gdyby nie to, że jest w nim kilka nieścisłości i to takich, które pozwalają powątpiewać w rzetelność pozostałych fragmentów listu, nieścisłości, które posiadają swoistą wymowę.

Oto niedokładności, które chciałbym sprostować: M. M. Szargan pisze o wydaniu — przez członków Koła Młodych przy Łódzkim Oddziale ZLP — ośmiu tomików poetyckich. Otóż, o ile mi wiadomo, członkowie Koła Młodych opublikowali dotychczas tylko pięć tomików (R. Gorzelski; J. Jarmołowski — dwa tomiki; Z. Skibiński; M. M. Szargan).

Wśród długiej listy młodych poetów (członków Koła Młodych) nagrodzonych z okazji różnych konkursów pominięto parę nazwisk (dziwne, że Autor siebie samego jakoś nie pominął — jednak skromności Autora nie należy podważać, skoro nie wymienił siebie wcześniej wśród osób, które według Niego „rokują poważne i niezaprzeczalne nadzieje"); czyżby Ci inni zostali pominięci dlatego, że otrzymali nagrody na konkursie organizowanym przy współudziale Związku Młodzieży Socjalistycznej?

Jeśli już Autor listu nie zaniedbał eksponowania własnego nazwiska wśród nagrodzonych, to dlaczego — pytam się — nie podaje innych swych nagród, jak np.: I nagroda na Turnieju jednego wiersza, który odbył się z okazji VI Wiosny PAX-owskiej w 1964 roku; czyżby Autor wstydził się tej nagrody?

Zastanawia mnie nieodpowiedzialność za słowo drukowane, gdy Autor ocenia I Sympozjon Polski Centralnej jako imprezę „społecznie szkodliwą" — przecież M. M. Szargan nie był obecny na obradach Sympozjonu (!). Czyżby ta negatywna ocena uwarunkowana była znowu osobistymi uprzedzeniami Autora?

Już te przykłady wskazują, że P. Mieczysław Michał Szargan nie zechciał zastosować się do głoszonego przez siebie postulatu „odpowiedzialności za słowo" — co więcej: nadużył zaufania Redakcji — nad czym należy ubolewać.

Z poważaniem
ANDRZEJ BISKUPSKI
Łódź, dnia 3 maja 1966 r.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

MITY WSPÓŁCZESNEGO CZTERDZIESTOLATKA

Przeszłość, czas, który minął, ulega zwykle albo zapomnieniu albo mitologizacji. I to zarówno przeszłość społeczeństw jak i jednostki. Zależne to jest od stosunku, jaki żywimy do faktów, które minęły, do działań, które się dokonały czy do siebie takiego, jakim byliśmy. Mitologizować samego siebie bardziej skłonni jesteśmy wtedy, gdy dzieje nasze są w jakiś sposób związane z wypadkami dziejowymi, z przemianami historyczno-społecznymi. Wtedy to swój skromny udział jednostka we własnej świadomości potrafi uczynić na tyle ważnym, aby sprawić sobie samemu zadowolenie. Zapomina się wówczas o tym, że jesteśmy jedynie trybikiem w wielkiej maszynie historii, niezdolnym uczynić nic bez współdziałania innych „trybów", jedynie pyłkiem na drodze czasu, o który nikt i nic nie może i nie chce się potknąć...

Problemem mitologizacji własnej przeszłości przez jednostkę zajmuje się książka Wiesława Jażdżyńskiego pt. „Między prawdą a chlebem" [1]). Bohater jej to jeden z „Kolumbów" należący do pokolenia z lat dwudziestych naszego wieku, pokolenia nazywanego często tragicznym. Wówczas, gdy Michał Mierzawa miał lat dwadzieścia, a więc wtedy, gdy życie prawdziwe zaczynało się dopiero dla niego, wybuchła wojna. Owczesny zryw młodzieńczy wypalił się w walkach partyzanckich — lecz stanie się później jednym ze źródeł samomityzacji. Pierwsze lata powojenne Michała — to jego czynny udział w walkach o nowy ustrój, o nową ojczyznę, która miała być piękniejsza i lepsza od innych, chociaż tych innych ani znał, ani pamiętał. Liczył się jednak wtedy — tak samo, jak w czasie okupacji — jedynie czyn, samo działanie, tym bardziej, że było usprawiedliwione słusznością sprawy, o którą się walczy. I to działanie także stanie się później przedmiotem mitologizacji samego siebie.

Owo „później" nastąpiło po roku 1956. Wówczas to Michał Mierzawa — mężczyzna pod czterdziestkę — nie potrafi już sobie niczym zastąpić symbolu „Polski walczącej" w kształcie kotwicy, ani też portretu człowieka w „czerwonych pagonach generalissimusa, o siwych, dobrotliwych oczach i gospodarskim wąsie". Wówczas to w okresie tak zwanej „stabilizacji" bohater książki zaczyna się czuć człowiekiem na tyle starym, że już niepotrzebnym. Zaczyna się poszukiwanie własnej wartości, własnego znaczenia, którego niezdolne są zatwierdzić przyznawane odznaczenia i nagrody. Mierzawa pragnie sprawdzić ich słuszność i uzasadnienie, pragnie sprawdzić wartość i znaczenie swoich własnych czynów należących już do czasu przeszłego, sprawdzić właśnie teraz, kiedy jego energia życiowa, z której dotychczas tak był dumny, potrzebna mu jest jedynie do rewizytowania takich jak on czterdziestolatków, do „trzepania dywanów z entuzjazmem" czy do „tworzenia na poczekaniu wierszy miłosnych na cześć żony".

Mierzawa więc snuje na kartkach powieści opowieść-pamiętnik o swojej przeszłości. Przedstawia swoje życie tak, jak gdyby miało być ono usprawiedliwianiem się za teraźniejszość, z którą nie może a musi się pogodzić. Poszukuje kogoś, kto mógłby uwierzyć w jego wartość, której zaprzecza czas teraźniejszy. I wtedy właśnie zaczyna mitologizować własne dokonania. Mity te mają stać się — według zamierzeń mitotwórcy — modelem postępowania dla pokoleń przyszłych, a zarazem mają być własnym samousprawiedliwieniem, stworzeniem sobie nimbu bohatera na miarę chociażby pewnego czasu. Nic więc dziwnego, że do relacji Michała wkrada się fałsz. Mitem staje się fikcja, a rzeczywistość okazuje się czymś o wiele mniej ważnym niż miało być w zamierzeniu mitotwórcy. „W życiu — czytamy w powieści — wcale nie ma czasu przeszłego, taki czas istnieje tylko w gramatyce. Czas przeszły niedokonany, czas przeszły dokonany, imperfectum i plusquamperfectum, ale to nieprawda jeden z mitów, spreparowanych dla łatwiejszego nauczania pokoleń. To było grzeczne dzieci, ale sobie poszło i nie wróci". Jażdżyński w sposób prosty, szczery i nawet z pewnym wdziękiem, uświadamia nam tę prawdę. I jeszcze jedno: jego książka stara się nam odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu fałszywość mitu spowodowana została przez słowo, w którym mit został stworzony, a w jakim stopniu ów fałsz jest zawiniony przez megalomanię mitotwórcy. Dlatego też bohater powieści z jednej strony opowiada swoje dzieje własnej żonie, a z drugiej pisze pamiętnik „dla użytku późniejszych pokoleń". Opowiadanie ujawnia jego megalomanię, pisarstwo ukazuje winę słowa jako przyczyny fałszu.

Jażdżyński zamierzył i zrealizował w swojej powieści ukazanie i demaskację procesu tworzenia mitów na użytek doraźny, na użytek pewnego czasu. Pokazał granice, na której balansuje ów „doraźny mit", granicę, za którą staje się on już tylko fałszem i obłudą. Konsekwencja prawdy uświadomionej przez autora, mogłoby być jeszcze ukazanie tego stanu rzeczy, w którym „mit na użytek doraźny" staje się w końcu sloganem i banałem. W rezultacie znaczenie takiego mitu sprowadzałoby się do analizy skutków jego społecznej percepcji. Ten fakt stwierdza żona Michała Mierzawy, mówiąc do męża: — „Ale ty masz fantazję, chłopczyku. Co dziwniejsze, ty zmyślasz autentyczne życie, nigdy czegoś podobnego nie spotkałam. Wiem, że zmyślasz i równocześnie wierzę". Powieść Wiesława Jażdżyńskiego można również odczytać jako ostrzeżenie przed tego rodzaju wiarą. Byłby to jeszcze jeden atut jej autora.

[1]) Wiesław Jażdżyński: „Między prawdą a chlebem". Wydawnictwo Łódzkie, 1966.

SPEKTAKLE tygodnia

Film

WISŁA	— „Pan do towarzystwa", 35 seansów	9.463 —	60%
	Teatr		
POWSZECHNY	— „My fair lady", 3 spektakle	1800 —	90%
	— „Tango", 1 spektakl	550 —	87%
NOWY	— „Ali Baba", 1 spektakl	600 —	90%
	— „Dożywocie", 1 spektakl	600 —	90%
NOWY Mała Sala	— „Anioł na dworcu", 4 spektakle	700 —	80%
JARACZA	— „Kto się boi Virginii Woolf", 2 spektakle	1216 —	100%
	— „Kaligula", 1 spektakl	546 —	100%
7.15	— „Kłamczucha", 2 spektakle	856 —	100%
	— „Taka noc nie powtórzy się więcej" 5 spektakli	2140 —	100%
OPERETKA	— „Sewastopolski walc", 2 spektakle	1777 —	82%
	— „Noc w Wenecji", 2 spektakle	1917 —	86%
TEATR ZIEMI	— „Antygona", 2 spektakle	310 —	55%
ŁÓDZKIEJ	— „Anioł na dworcu", 5 spektakli	794 —	56%
FILHARMONIA	2 koncerty	590 słuchaczy	80%

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają stosunek procentowy liczby widzów do ilości miejsc na widowni.

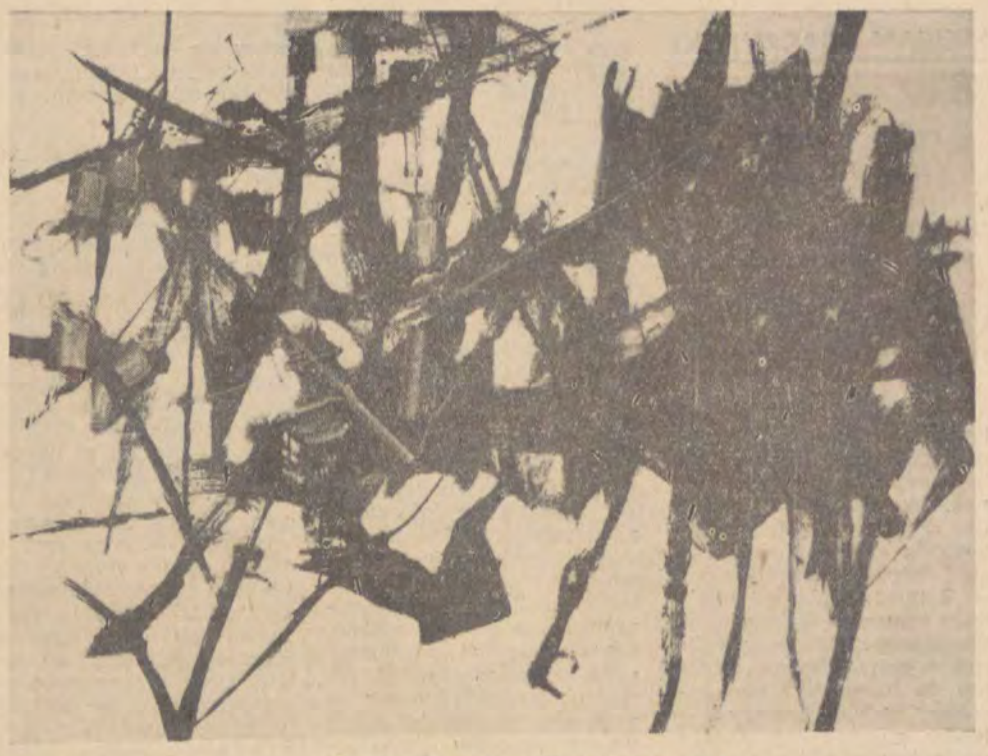

T. Tyszkiewicz — Kompozycja, olej.

Fot. A. Idziński

ANTONI SZRAM

ABSTRAKCYJNE MALARSTWO TERESY TYSZKIEWICZ

(Kartki z wystawy)

Niedawno w Klubie Studenta „Pod Siódemkami" wystawiała swoje kaligraficzne oleje Teresa Tyszkiewicz. Obrazy jakie oglądałem są niezamieszkałe przez kolor, świadomie niewykończone. Tych płócien nie da się do końca odczytać. Ich kształt nie da się do końca przewidzieć. W jakimś miejscu urywają się racjonalne przesłanki uświadomione i sformułowane. W grę wchodzi intuicja. W kilku szerokich rzutach plama barwna przenosi nas Tyszkiewicz w sferę lęku przyszłości. Typ progresji czasowej ciąży na tym malarstwie. Może to protest przeciwko chaosowi epoki atomowej?

Niezwykła erudycja ułatwia artystce malowanie we wnętrzu sfunkcjonalizowanego świata cywilizacji technicznej. Informuje więc o nim — w duchu nowoczesnym, na bazie zjawisk sprawdzonych empirycznie. Nie ma to nic wspólnego z estetyzmem, ani z tym, co niektórzy próbują nazwać dość mętnie formalizmem. Teresa Tyszkiewicz poszukuje po prostu prawd ogólnych, które dałyby się wyrazić przy pomocy języka malarskiego, oczyszczonego z elementów, które malarstwem nie są. Zasadnicza koncepcja dzieła stanowi absolutne odstępstwo od werystyzmu. W sposób ogromnie niejednolity i skomplikowany układają się tu związki z naturą. Twórczość artystki ma charakter spontaniczny. Od pierwszego pociągnięcia pędzla uchwycona zostaje wizja wewnętrzna zawarta w prowokującej kompozycji, wprowadzeniem na białe tło odautorskich partii przez dekondensację płótna, idealne jego pokiereszowanie i porysowanie. Przypomina to skomplikowaną sieć przewodów, w których krąży energia. Motywy zaczerpnięte z różnorakich wrażeń, przeżyć i obserwacji przekazuje malarka umownym kodem, ukazując nieznane oblicze ukrytych znaczeń. Zwykliśmy opatrywać to etykietą — abstrakcja. Znakomita zresztą i jednocześnie dyskusyjna. Przypadkowy znak czy gest wymowniej nieraz działa niż portret zbiorowy. Ale na jak długo?

Spisane obserwacje stanowią punkt wyjścia do snucia rozważań ogólniejszych. Są również sygnałem niepokoju. Koncepcja — jak koncepcja, jest na pewno słuszna, własna, aczkolwiek ani odkrywcza, ani nowa. Nie miałbym nic przeciwko niej, jednak kompozycje malarskie, poprzez które podaje się nam wizję (wewnętrzna kontemplacja) autorska do wierzenia i zachowania w pamięci, są tak kunsztownie wymyślne, że po prostu nieprawdziwe.

Do zwłoczenia artyzmu pozostał jeszcze długi okres, ale — moim zdaniem — malarstwo to zbyt długo tkwi w ciasnym gorsecie sztuki abstrakcyjnej. Sztuka ta — w burzliwym roku 1956 (wystawa zbiorowa „grupy łódzkiej": Stanisław Fijałkowski, Lech Kunka, Roman Modzelewski, Antoni Starczewski, Teresa Tyszkiewicz i Stefan Wegner) stanowiąca opozycję wobec ówczesnego programu artystycznego, postawa negatywna do rzeczy zastanych — dzisiaj traci nieco anachronizmem. Choć nie można — i tu ukłon w stronę Teresy Tyszkiewicz — zaprzeczyć, że malarstwo jej przeszło już do tradycji. Zajmuje honorowe miejsce w poważnych galeriach sztuki nowoczesnej (m. in. Muzeum Sztuki w Łodzi). Ten hołd nie jest przypadkowy, niemniej malarka może nam jeszcze dużo opowiedzieć. Nie protestuję, jednak nie wierzę, że akurat w ten sposób, ostatnio wybrany przez siebie.

Oczywiście, po tym pokazie i czekaniu na następny może zrozumiemy co nowoczesne, co dobre, co piękne, co wzrusza, co odczuwamy... Kto wie, może?

CECYLIA DUNINOWA

Bibliotekarze...

Zagadnięta w trakcie pewnej dyskusji na temat kompleksów zawodowych bibliotekarzy — o których głośno było swego czasu w prasie ogólnopolskiej — uświadomiłam sobie z pewnym zdumieniem, że cały zasób ocen i utrwalonych sądów w tej dziedzinie już znowu zmusza obserwatora do przewartościowania czy wręcz wymiany jego dotychczasowych poglądów.

Rewolucyjny niemal skok rozwojowy bibliotek i bibliotekarstwa w powojennym dwudziestoleciu jest rzeczą zaskakującą nawet dla samych bibliotekarzy. Zawód ten tak dalece już dziś wybiega poza mechaniczną czynność wymiany książek, tak dalece przestał być już tylko zespołem umiejętności praktycznych — stając się na naszych oczach wielostronnym i wielofunkcyjnym zajęciem specjalistów i ekspertów w zakresie upowszechniania wiedzy — że słuszne i konieczne wydaje się, aby z okazji Dni Oświaty sprawy te stały się jak najszerzej znane naszemu społeczeństwu.

Mamy obecnie w Polsce ok. 20 tys. bibliotekarzy, a z tego ponad 12 tys. — to bibliotekarze bibliotek powszechnych. **Jest to po nauczycielstwie najliczniejsza w Polsce grupa pracowników oświatowych.** Biorą oni czynny udział w kształtowaniu naszego życia kulturalnego, są inspiratorami postępu, organizatorami warsztatu naukowego, wreszcie wychowawcami i nauczycielami pełniąc zaszczytną funkcję służby społecznej, która jest istotą tego zawodu.

Trzeba sobie jednak powiedzieć, że w opinii publicznej słowo „bibliotekarz", „bibliotekarka" kojarzy się jeszcze dość powszechnie z nieco innym portretem: z bardzo nieokreślonym zakresem czynności przypominających usługi księgarskie oraz sylwetką starego dziwaka, zgorzkniałego „mola książkowego" w fartuchu do kostek i ciepłych bamboszach, człowieka, któremu nie bardzo w życiu się powiodło, który spełnia funkcję „kelnera wiedzy" jak ocenił to pewien niemiecki historyk. W ocenie społecznej jest to więc zawód nieatrakcyjny, bez możliwości wykorzystania i rozwijania inicjatyw organizacyjnych czy naukowych, bez przyszłości materialnej. Jednym słowem pokutuje jeszcze w społeczeństwie tradycyjny pogląd na bibliotekarstwo... którego już dawno nie ma. Aby się o tym przekonać, wystarczy wejść do najbliższej placówki tego typu w mieście czy w powiecie. Portret bibliotekarza współczesnego przekażą nam także poważne badania naukowe podjęte w r. 1961/2 przez Instytut Książki i Czytelnictwa. Uzyskane odpowiedzi w pełni uświadamiają jak zasadnicze zmiany nastąpiły w tym zakresie na przestrzeni ostatniego XX-lecia.

W świetle przeprowadzonych badań całkowicie upada mit, że bibliotekarstwo jest zawodem ludzi starych. Są nimi raczej ludzie młodzi i w wieku średnim. Górna granica wieku średniego przypada na ok. 40 lat co wskazuje, że ponad połowa bibliotekarzy weszła do zawodu po wojnie uzyskując kwalifikacje zawodowe już w Polsce Ludowej.

Nie potwierdza się również przekonanie, że aby być bibliotekarzem wystarczy... „kochać książki"... Ten argument nie wzruszy już dziś żadnego dyrektora nawet małej placówki. W bibliotekarstwie współczesnym wszystko zaczyna się od matury. Nie do pomyślenia jest w tej chwili uzyskanie jakichkolwiek kwalifikacji zawodowych bez ukończenia szkoły średniej, a także wykonywanie zawodu bez specjalnego dokształcania fachowego. Nie chodzi tu wyłącznie o bodźce natury materialnej, ale o konieczność nadążania — zakres umiejętności bibliotekarskich staje się tak szeroki, że nie da się go opanować tylko metodą terminowania przywarsztatowego.

Sprawa podnoszenia kwalifikacji zawodowych jest w zawodzie bibliotekarskim jedną z najpoważniejszych, ale i najboleśniejszych. Mimo wyraźnego podnoszenia się poziomu wykształcenia, wobec dynamicznego rozwoju placówek i rosnących potrzeb społecznych, jest on ciągle zbyt niski, ciągle niewystarczający.

Podstawowy akt ustawodawczy z dnia 17 kwietnia 1946 r., który po raz pierwszy w dziejach Polski uznał biblioteki za narodowe mienie kulturalne stworzył zapotrzebowanie na wysoko wykwalifikowaną kadrę specjalistów, która będzie ten program realizować. Już w 1945 r. została utworzona pierwsza Katedra Bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 1951 i 1956 powstają analogiczne katedry przy Uniwersytetach Warszawskim i Wrocławskim, a ponadto we Wrocławiu uruchomiono Studium Bibliotekoznawstwa dla Pracujących. Szkoleniem kadr dla bibliotek powszechnych zajmowały się początkowo licea bibliotekarskie, następnie obowiązek ten przejęło Roczne Studium Bibliotekarskie w Jarocinie oraz Studia Kulturalno-Oświatowe i Bibliotekarskie działające w Łodzi i we Wrocławiu. Umożliwiono też pracującym już bibliotekarzom dokształcanie zawodowe na periodycznych kursach korespondencyjnych organizowanych przez Państwowy Ośrodek Kształcenia Korespondencyjnego Bibliotekarzy w Warszawie. Program kształcenia powoczesnych kadr bibliotekarskich stara się uwzględnić zarówno wiedzę praktyczną jak i ogólną, kładąc szczególny nacisk na zagadnienia społeczne i pedagogiczne. Opracowano już najogólniejsze założenia kwalifikacyjne rekrutacji do zawodu, wreszcie tworzy się podstawy do stabilizacji kadr zarówno natury materialnej jak i ambicjonalnej realizując szanse ambitnych indywidualnych inicjatyw twórczych.

Wpływa to bez wątpienia na stabilizację zawodu i napływ nowych sił — na tegoroczny Kurs Korespondencyjny POKKB zgłosiło się w łódzkim ośrodku prawie 70 osób, co stanowi jak dotąd rekordową liczbę chętnych. Studium Kulturalno-Oświatowe i Bibliotekarskie w Łodzi na znikomą ilość 40 miejsc otrzymuje co najmniej trzykrotnie wyższe zgłoszenia maturzystów wybierających zawód bibliotekarski. Seminarium doktoranckie działające przy Katedrze Bibliotekoznawstwa UŁ liczy obecnie 25 członków pragnących uzyskać stopień naukowy z zakresu tej dyscypliny. Fakty świadczą niezbicie, że zawód ten tak bardzo niedoceniany stworzył w XX-leciu Polski Ludowej realne szanse dla wszystkich ambitnych, zdolnych i energicznych ludzi, którzy świadomie a nie z przypadku wybierają swoje miejsce w społeczeństwie.

Ogromne wysiłki władz i organizacji zawodowych takich jak Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich czy Związek Zawodowy Pracowników Kultury i Sztuki zostały podjęte w celu poprawy warunków materialnych bibliotekarzy. W porównaniu z innymi zawodami zarobki są nadal bardzo niskie, szczególnie dla pracowników bibliotek powszechnych. Jak wskazują badania, średnia w sieci bibliotek publicznych wynosiła ok. 1500 zł z przewagą uposażeń niskich do 1200 zł. Od chwili zakończenia badań kilka podjętych uchwał poprawiło nieco tę sytuację — nowe stawki objęły np. absolwentów SKOiB oraz pracowników z niepełnym wykształceniem wyższym. Złagodzono też znacznie warunki przyznawania dodatków specjalnych. Dodatki funkcyjne przyznano instruktorom bibliotek wojewódzkich pełniących swoje obowiązki głównie w terenie. **Rozporządzenie ministra z dnia 14 lipca 1965 r. przyznało 8 bibliotekom wojewódzkim i wielkomiejskim, a w tym i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi prawo zatrudniania bibliotekarzy dyplomowanych, przysługujące dotąd tylko bibliotekom Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i sieci bibliotek PAN.**

Wszystkie te poczynania podnoszą w efekcie prestiż społeczny bibliotekarstwa, a tym samym i bibliotekarzy. Podnoszą go również unowocześnione metody pracy stosowane coraz powszechniej i na wszystkich szczeblach sieci. I gdzież tu miejsce na kompleksy?

MARIAN DRACZYŃSKI

TEATR WŚRÓD MŁODYCH

W dziedzinie, jaką określa tytuł tego szkicu, sytuacja naszego miasta zmieniła się na korzyść, nie na tyle jednak, by obie strony mogły być zadowolone. Melpomena pozwala sobie mówić: — „ty" dojrzałym wielbicielom. — Z tymi młodszymi miała dużo smutnych doświadczeń. Sporo czasu jeszcze upłynie, zanim teatr odzyska zaufanie do młodzieży; nie wystarczy jednak narzekać — trzeba zakasać rękawy i odrobić zaległości minionych lat. Wprowadźmy w życie modny, ale wciąż jeszcze ubogi w treść termin: — „wychowanie przez sztukę"!

Żeby sztuka mogła wychowywać potrzebne są odpowiednie warunki do jej odbioru. Skoro mowa o teatrze — sprawą do załatwienia jest zagadnienie stadnego odwiedzania świątyni Melpomeny przez młodzież szkolną. Na razie inaczej nie można, ale nie wolno pozostawiać młodzieży samej sobie. Wraz z nauczycielami mogliby zaopiekować się młodym pokoleniem widzów ich rodzice. W trakcie przedstawienia zobaczą prawdziwe oblicze własnych dzieci. Rodzice, z wygodnictwa, jak dotąd rzadko zajmują się młodzieżą w sposób prawdziwie rodzicielski! Pomysł jest możliwy do realizacji: — istnieje praca na zmiany, są rodzice nie pracujący... Niech zaglądają na spektakle popołudniowe nastolatków studenci uczelni pedagogicznych! Zbiorą tam dużo problemów do omówienia, będą przy tym mogli wypróbować moc swych osobowości. Dotychczas w ramach hospitacji chodzili przeważnie na wylizane, wymuskane lekcje.

Do akcji powinno włączyć się i kierownictwo widowni i postarać się o dorosłego widza. Gdy młodzież zobaczy na sali ludzi ze starszych pokoleń — zrozumie, że nie służy do zapchania dziur. Obecni na sali podczas przedstawienia nauczyciele muszą pełnić ostry dyżur. Tyle mam uwag odnośnie spraw organizacyjnych. Z przykrością trzeba stwierdzić, że i nauczyciele są winni.

Spraw do załatwienia jest znacznie więcej. Trzeba wspomnieć o braku dokładniejszych informacji na temat bieżącego repertuaru. Prasa codzienna traktuje to po macoszemu — nie zawsze umieszcza nazwisko autora, o treści sztuki szkoda już mówić. Teatralne plakaty rozmieszczone wśród ulic miasta przypominają swym milczeniem sfinksa, ot świadectwo urodzenia i nic więcej. Wskazane byłoby stworzenie popularnych, bezpłatnych informatorów repertuarowych przeznaczonych dla zakładów pracy, szkół, domów kultury... Na wzór zegarynki można by wprowadzić telefoniczną informację o artystycznych imprezach miasta. Wróćmy jednak do samego repertuaru teatrów łódzkich. Żadnych radykalnych zmian nie dostrzegłem. Sztuk o współczesnej tematyce młodzieżowej wciąż nie ma, pozostałe dobierane są przypadkowo, bez oglądania się na psychikę młodego widza. Brak szczególnego zainteresowania młodzieży „Kolumbami..." stał się jeszcze jednym dowodem braku zrozumienia dzieci dla przeżyć rodziców. O „W 80 dni dookoła świata" można by pisać dobrze lub źle; odkładając na bok czarne i różowe szkiełka, trzeba zastanowić się czy współczesny człowiek nie za często mizdrzy się do lustra i wydziwia wszystkiemu, czego nie można nazwać XX wiekiem. Wspomniana sztuka uczy poza tym lekkomyślności w dziedzinie uczuć, zastępując sentyment Vernego lekkim co prawda, ale zabarwionym cynizmem, seksem. Adaptator wychodził prawdopodobnie z założenia, że „czego Jaś się nie nauczy tego Jan nie będzie umiał".

Dobrym pomysłem Teatru Powszechnego było zaadoptowanie do poziomu młodzieżowego sztuki mistrza Michała, dającej okazję do świetnej zabawy. Znowu jednak sięgnięto do utworu starego jak świat (krakowski). Jeżeli chodzi o przyszłość, to wielkie nadzieje wiążą się z Ministerstwem Kultury i Sztuki, w którym dyskutowano niedawno nad koniecznością zwiększenia ilości sztuk młodzieżowych.

Z kolei przejdźmy do spraw teatru szkolnego. 18 grudnia ub. r. w Łodzi, w XII Liceum Ogólnokształcącym odbyła się konferencja poświęcona sprawom teatru szkolnego, w tym także i roli, jaką może on odegrać w wychowaniu młodego pokolenia. — Rozpoczął ją ciekawy montaż sceniczny tekstów poetyckich z XVI wieku. Część naukową wypełnili goście z Krakowa. — Profesor Papee omówił główne problemy pracy na szkolnej scenie (opracowanie tekstu, zadania aktora, rola reżysera, znaczenie muzyki itd.).

W dyskusji krakowianie opisali cienie i blaski swojej pracy. — Dyrektor Potoczek, uczeń Osterwy, opiekun Teatru Międzyszkolnego przy V Liceum Ogólnokształcącym, wskazał na wielkość misji sceny młodzieżowej, mającej chronić „kochany wyż demograficzny" od barbarzyństwa. — W Krakowie Kuratorium udzieliło tej imprezie wszelkiej możliwej pomocy, kontakt z Teatrem im. Słowackiego chronił pod opiecznych dyrektora Potoczka od niedobrej amatorszczyzny. — Poza tym zabierali głos i tubylcy. Entuzjazm sąsiadował tutaj z goryczą. Były postulaty. Obecni na sali przedstawiciele Kuratorium Łódzkiego wyrazili żywe zainteresowanie omawianymi problemami. Wypada życzyć, żeby to nie były tylko: „słowa... słowa... słowa..."

W teatrze pozaszkolnym i pozazawodowym jednocześnie, jest różnie. Scena istniejąca przy Pałacu Młodzieży musi długo pracować jeszcze nad swoim profilem. Wśród amatorskich zespołów zdarzają się ambitne przedstawienia o problematyce młodzieżowej, takim był spektakl „Kroków" Piotra Boćki, zorganizowany w Klubie „Pod Żurawiem", już omówiony zresztą w „Odgłosach". Tą drogą należałoby pójść. Nie unikać współczesności, nie lękać się spraw trudnych i drażliwych, odważnie stawiać pytania i próbować na nie odpowiedzieć. Dzisiejsze przemiany techniczne, społeczne, obyczajowe stwarzają sytuacje, w których gubią się i dorośli i młodzież. „Wyż demograficzny" traci zaufanie do rodziców, a szkoła nie zawsze potrafi stać się autorytetem... — Do kogo więc mają się zwrócić młodzi? Film przeważnie pokazuje jak żyć nie należy, moralizatorstwo książki szyte jest grubymi nićmi, telewizja poprzestaje na spełnianiu funkcji wygodnej jadłodajni. Na arenie pozostał teatr. To właśnie on powinien zająć się problemami młodzieży; pokazać jej rzeczywistość, w jakiej żyje i miejsce, jakie może w niej zająć. Postawy moralne dobre i złe, ukazane wnikliwie, do dna; typy obok osobowości, jednoaktówki obok poważniejszych gatunków scenicznych — to są podstawy współczesnego teatru młodzieżowego, szkoły myślenia i postępowania.

KRONIKA

Antytelewizyjna

POCZYNAJĄC OD „KOBRY"

Fragmencik kroniki sądowej z „Życia Warszawy":

„Sąd Wojewódzki we Wrocławiu ogłosił 17 bm. wyrok w procesie przeciwko Stanisławowi Gwoździowi i Włodzimierzowi Stolarczykowi, oskarżonym o kradzież ponad 600 tys. zł z kasy Banku Spółdzielczego w miejscowości Ruja na Śląsku.

Jak ustalono w toku dochodzenia oraz w czasie rozprawy, Gwóźdź wykorzystując swoje stanowisko kasjera Banku Spółdzielczego w Ruji, wieczorem 19 grudnia ub. roku wpuścił Stolarczyka do pomieszczeń kasowych i wręczył mu klucze do seifu, sam zaś dla zachowania pozorów opuścił bank. Stolarczyk, po zabraniu pieniędzy z kasy dla upozorowania włamania włożył do wnętrza zamków specjalnie dorobione, połamane klucze.

Milicja przybyła na miejsce rzekomego włamania oraz rzeczoznawcy od razu orzekli, iż znalezione w zamkach kasy odłamki kluczy nie mogły być użyte do otwarcia seifu. Nie natrafiono również na ślady uszkodzenia zamków i kłódek na drzwiach prowadzących do pomieszczeń bankowych".

Prymitywnie upozorowane włamanie zakończyło się, gdyż inaczej być nie mogło, wyrokami orzekającymi długoletnie więzienie. To przestępstwo, a oceniam je ze specyficznego punktu widzenia, nie może stanowić jakiejkolwiek inspiracji dla „Kobry". Ale przecież zdarzają się i „samograje". Wystarczy powołać się na reportaże popularnej Wandy Falkowskiej. W dodatku nie jest nigdzie powiedziane, że scenariusze „Kobry" nie mogą obejść się bez trupa lub trupów. A jednak do wyjątków należą „Kobry" watlymi przynajmniej nićmi zszyte z naszą rzeczywistością przestępczą i obyczajową.

Nie interesują się „Kobrą" (lub może nie usiłowano ich zainteresować) nasi autorzy powieści kryminalnych jak na przykład Joe Alex z Krakowa.

Rzadko kiedy, tylko od wielkiego dzwonu, piszą sztuki i słuchowiska specjalnie dla TV pisarze!

Sprawa jest poważna, „Kobra", zaś stanowi jedynie wstęp do niej. Jak tłumaczyć nieobecność pisarzy? O ile wiem, w innych krajach europejskich kontakt pisarzy z radiem i telewizją jest znacznie owocniejszy. Owszem, i tam również satysfakcja jednorazowego pojawienia się na małym ekranie, aczkolwiek przed milionowym widzem, nie jest satysfakcją wystarczającą. Co książka to książka. Tamte telewizje wzbogacają te satysfakcje odpowiednimi honorariami. Na spokojne cyzelowanie wierszy czy opowiadań można porządnie zarobić, napisawszy coś specjalnie dla radia lub dla telewizji. U nas ta szansa, choć powinno być podobnie, nie istnieje. Urządza się niekiedy konkursy, przynoszą przeważnie pożądany rezultat, ale to nie zmienia ogólnej sytuacji.

Rzecz upraszczając, olbrzymie i rozwijające się, tekstochłonne przedsiębiorstwo przez duże P, nie dysponuje pisarzami, nie ma literackiego zaplecza, nie wyrabia się kadra, zainteresowana dostarczaniem odpowiednich utworów.

Zresztą, od kilku lat obserwujemy zjawisko budzące poważne obawy. Prawdę mówiąc, pisarz stał się potrzebny tylko wydawnictwom jako autor książek. Nie jest potrzebny radiu, telewizji, estradzie, gazecie, w tych ostatnich nawet w wypadku wielkich rocznic nie pojawiają się wiersze. Niektórzy dramaturdzy twierdzą, że nie są potrzebni i teatrowi. Mówiłem kiedyś o tym na walnym zjeździe pisarzy w Sopocie, ale nawet i tam mój skromny głos jakoś zlekceważono. O ile pamiętam, tylko Witold Zalewski w nie istniejącym „Przeglądzie Kulturalnym" wyraził z tego powodu ubolewanie.

Sprawa jest ważna z wielu względów, jeżeli mamy na serio mówić o rozwoju nie tylko wszerz ale i w głąb ofensywy kulturalnej, jeżeli niepokoi nas spłycenie wszystkiego czym się żywi masowy odbiorca.

Żyjemy w kraju, w którym w przeszłości najlepsze powieści ukazywały się w odcinkach gazet i tygodników. Żeby powołać się na wielki przykład, choć wystarczyłyby i pomniejsze, tak było z „Trylogią" Sienkiewicza. Powieść kryminalna występowała tylko w tzw. pięciogroszówkach i rewolwerówkach. Nawet nie we wszystkich, w warszawskim „Expressie" drukował jednak Dołęga-Mostowicz, mimo wszystko autor „Kariery Nikodema Dyzmy", „Pamiętnika pani Hanki". (Bo przecież nie o to chodzi, by wszystkich koniecznie raczyć arcydziełami!).

Dziś powieść kryminalna z mordobiciem, chuligaństwem i morderstwem zapełnia wszystkie odcinki powieściowe gazet. (Pisał o tym mój kolega z ostatniej strony „Od głosów", Ćwiek.). Jeszcze po wojnie gazeta „Rzeczpospolita" drukowała „Kratę" Gojawiczyńskiej, zaś ukazujący się wówczas w Krakowie tygodnik „Odrodzenie" powieść odcinkową „Zaraz po wojnie". Karol Kuryluk zaczął ją drukować, znając zaledwie parę uprzednio napisanych rozdziałów. Kuryluk odznacza się dobrym węchem redaktorskim, otrzymaliśmy... „Popiół i diament" Jerzego Andrzejewskiego.

Mówimy aż do znudzenia o upowszechnianiu dobrej lub przynajmniej godziwej literatury, ale na co dzień żywimy rzesze dorosłych i młodzieży kryminałami i komiksami, ograniczającymi wielkie osiągnięcia w zakresie budzenia rzetelnej potrzeby kulturalnej. Nie traktujmy poważnie wysuwanej czasem tezy, że czytelnik kryminałów i komiksów w konsekwencji sięgnie z kolei po innego typu literaturę. To zdarza się znacznie rzadziej, niż przypuszczają optymiści, on przy nich pozostanie!

Kiepska piosenka estradowa lub pseudoskecz dla cyrku przynosi znacznie większe korzyści materialne niż nie tylko duże opowiadanie, ale i nawet powieść. (A dostawcami tych rzeczy przeważnie nie są ani poeci, ani satyrycy!) Pisarz zaś, żeby wyżyć, pisze w końcu zbyt pośpiesznie. Nie jestem skłonny do złudzeń: rozrywka zawsze więcej przynosiła pieniędzy, niż autentyczny wysiłek prozaika lub poety.

A jednak istnieją konkretne możliwości lekkiego przynajmniej wyrównania przepaści. Możliwości w dodatku jakże pożądane dla ofensywy kulturalnej, dla wszystkich stron jej postępami zainteresowanych. Pisarz potrzebny nie tylko wydawnictwu związuje się ponadto ściślej z rzeczywistością, to żadnemu prozaikowi i poecie nie zaszkodzi, mit o wieży z kości słoniowej właściwie zawsze był tylko mitem.

Literatura w różnych jej formach, pisarze mocniej związani ze wszystkimi środkami i sposobami przekazywania — z gazetą, radiem, telewizją, estradą — oto problem, zasługujący na poważne i wieloaspektowe rozpatrzenie. (Nie potrafię powstrzymać się od przypomnienia drobnego, ale charakterystycznego wydarzenia, zakrawającego na anegdotę. Kiedyś, w październiku, w związku ze świętem naszego wojska, zgłosił się do mnie pewien prelegent z prośbą, bym go poinformował o swoich wierszach, ma bowiem wygłosić kilka pogadanek o poetach I Armii, a wie, że tak się zdarzyło, iż należę do tej kilkuosobowej grupki!).

Przepraszam za to, że zaniedbałem tym razem swoje obowiązki recenzenckie, ale to przecież maj, miesiąc oświaty, książki i prasy. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się nawet, żebym te obowiązki aż tak bardzo zlekceważył!

Jan Huszczij

KSIĄŻKI NADESŁANE

Marian Promiński — UTWORY SCENICZNE. WL, cena zł 36.

J. F. Cooper — PIONIEROWIE. Iskry, cena zł 50.

Stanisław Jerzy Lec — MYŚLI NIEUCZESANE NOWE. WL, cena zł 28.

Józef Ratajczak — MIEJSCE Z MURU. WL, cena zł 10.

Przemysław Mroczkowski — SZEKSPIR ELŻBIETAŃSKI I ŻYWY. WL, cena zł 40.

Stanisław Skoneczny — POEZJE WYBRANE. WL, cena zł 30.

Wacław Kubacki — POEZJA I PROZA. WL, cena zł 54.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„KRONIKA PEWNEJ ZBRODNI" — film reżyserowany przez Joachima Haslera, oparty na wątkach powieści Leonharda Franka, opowiada o samosądzie dokonanym przez Żydówkę Ruth Bodenheim na dygnitarzu z Niemiec zachodnich w dziesięć lat po zakończeniu wojny. Zabity był hitlerowcem, który osobiście brał udział w prześladowaniach Żydów. Z jego rąk zginęli rodzice Ruth rozstrzelani bestialsko wraz z innymi Żydami w klasie szkolnej w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. 17-letnia Ruth wywieziona została do obozu koncentracyjnego, a potem umieszczona w domu publicznym dla żołnierzy niemieckich w okupowanej Polsce. Gehenna Ruth kończy się wraz z wyzwoleniem. Dziewczyna wraca do rodzinnego miasta nad Menem. Miłość przerwana wojną odżywa na nowo. Ruth wychodzi za mąż za człowieka, którego kiedyś pokochała swą pierwszą miłością. Jej młodszy brat wywieziony po wojnie do Francji do zakładu dla sierot żydowskich wraca po latach jako sławny pianista. Ruth nie jest jednak szczęśliwa. Od chwili powrotu — walczy o sprawiedliwość, o ukaranie tego, kto zamordował jej rodziców. Daremnie. Wielki kapitał wiele może. Ekshitlerowiec potrafi wydostać się z aresztu, zniknąć na dłuższy czas. I tylko jedno proponują wszędzie Ruth szukającej sprawiedliwości i domagającej się kary: odszkodowanie pieniężne. Tak, jakby pieniędzmi wynagrodzić można było największe straty moralne, ludzką śmierć, lata udręki. Kiedy więc morderca jej rodziców wraca obrosły w zaszczyty i zostaje burmistrzem w jej rodzinnym miasteczku — doprowadzona do rozpaczy Ruth zabija go w czasie bankietu urządzonego z okazji objęcia tego stanowiska. Tak właśnie zaczyna się film. Te pierwsze sceny wyglądają, jak wzięte z pierwszego lepszego kryminału. I dopiero potem odsłania się przed nami cała tragedia, okazuje się, że to zamordowany był zbrodniarzem, że ta, która zabiła, choć wbrew prawu — wymierzyła sprawiedliwość. Znaczy to więc, że w kraju tym prawem jest bezprawie. Ten film oskarża, odwołuje się do ludzkiego sumienia, dokonuje tragicznego rozrachunku. Jest więc „Kronika pewnej zbrodni" głosem artysty w dyskusji, która objęła cały świat — w dyskusji nad przedawnieniem zbrodni wojennych. Oto, co mówi o tym filmie rabin dr Martin Riesenburger z Berlina: „Ze względu na temat filmu (że temat taki życie w ogóle mogło stworzyć) trudno jest gratulować, ale chciałbym powiedzieć reżyserowi i całemu kolektywowi — jest to dla mnie potrzeba serca — że stworzyli coś naprawdę wspaniałego i szlachetnego. Mam tylko życzenie, by miliony ludzi na całym świecie obejrzały to znakomite dzieło, bo zmusza do przemyśleń, przemawia do serca i do rozumu..." I jeszcze jeden głos — dr Zachariasza Zweiga: „Wspaniały film, któremu życzę, aby był oglądany na całym świecie. Niepredko o nim zapomnę... Sądzę, że jest to pierwszy film na świecie, który podjął temat odszkodowań. Ruth mówi w tym filmie: „Te pieniądze czuć cyklonem B i krematorium", to mocny film, dziękuję zań moim niemieckim przyjaciołom".

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Jak pierwszy z omawianych filmów jest typowym dziełem problemowym, zaangażowanym i celowo aktualnym, a więc poważnym, posiadającym charakter zdecydowanie publicystyczno-fabularny przy całym swym emocjonalnym, chwilami lirycznym zabarwieniu, tak drugi stanowi typową pożywkę rozrywkową. Jest to dramat sensacyjno-przygodowy **„WRAK "MARY DEAR"** zrealizowany przez reżysera Michaela Andersona na motywach powieści Hammonda Innesa. Barwny, szerokoekranowy, ukończony został w 1959 roku. Ten brak świeżości widoczny jest w poetyce filmu — zbyt oczywistej, zbyt przeładowanej i przesadnie melodramatycznej nawet jak na rozrywkowy film doby obecnej. Zapewne podobać się będzie młodzieży, tej niepoprawnej jeszcze, której marzą się podboje świata, dalekie podróże pełne przygód, która fascynuje aura tajemniczości otaczającej się o zbrodnie, niebezpieczeństwa mrożące krew w żyłach i bohaterskie czyny stuprocentowych mężczyzn — prawych, dzielnych i niezwyciężonych. Dorosły widz znajdzie w nim wytchnienie, dwie godziny rozrywki w nie najlepszym co prawda gatunku, ale dającej okazję do obcowania ze sławnym, choć nie najmłodszym już Gary Cooperem oraz mniej znanym polskiej publiczności, choć nie mniej sławnym amantem amerykańskim Charltonem Hestonem.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

JEAN RENOIR I JEGO „MAŁE REWOLTY"

■ Jean Renoir, znany reżyser filmowy przygotowuje w Paryżu nowy film. Składać się on ma z kilku, czterech lub sześciu krótkich epizodów. Każdy z nich ilustrować będzie jakaś „mała rewolta" życia codziennego, bunt ludzi przeciw przesadom, przyzwyczajeniom lub nawet przeciw postępowi technicznemu (np. bunt przeciw stosowaniu odkurzacza). Mają być jednak poruszane i sprawy poważniejsze. Tak np. w jednym z epizodów starzejąca się kobieta zarabia na kawałek chleba robiąc strip-tease w jednym z portowych nocnych lokali. Wiednąca piękność zamiast oklasków i uznania otrzymuje gwizdy i zniewagi. Pewnego dnia w porcie wybucha bunt marynarzy. Aktorka przyłącza się do rewolty i bierze udział w masakrze swych prześladowców.

CZŁOWIEK-NIETOPERZ

■ Człowiek-nietoperz, „batman" stał się w Stanach Zjednoczonych niezwykle znaną postacią. Czterdzieści milionów telewidzów ogląda we wtorki i środy jego niepraw dopodobne przygody i wyczyny. Batman z początku był bohaterem „comicsu" przeznaczonego dla dzieci, potem jedna z trzech wielkich stacji telewizyjnych „American Broadcasting Company" wpadła na pomysł zrobienia z człowieka-nietoperza bohatera serii telewizyjnych. Batman wkrótce stał się bardzo popularną postacią. Oglądają go zarówno dzieci jak i dorośli. Gdy w czasie przeznaczonym na nadawanie przygód batmana, telewizja przekazywała dramatyczne sceny z podróży kosmonautów, miliony ludzi telefonowały do TV dlaczego nie został nadany odcinek z człowiekiem-nietoperzem. Gra go Adam West, były cowboy. Występuje przed kamerami telewizyjnymi zawsze w masce. Na ramionach narzucona ma pelerynę. Popularność tych niewybrednych zresztą pod względem artystycznym audycji sprawiła, że w sklepach sprzedaje się najprzeróżniejsze przedmioty wzorowane na tych, które należą do telewizyjnego batmana, a więc podobne maski, pasy, modele samochodów itp. Obliczono że około 500 przedmiotów znajdujących się w sprzedaży inspirował batman. Moda przeniknęła do poezji. Tom Wolf napisał nawet wiersz onomatopeiczny naśladujący dźwięki jakie wydaje człowiek-nietoperz. Brzmi to mniej więcej tak: „Zak... Plasz ...zap... Superfantastyczne..."

„Batman", człowiek-nietoperz, bohater telewizyjnych widowisk, których popularność nie świadczy zbyt dobrze o gustach amerykańskich telewidzów.

„NIE WIDZIAŁEM NIGDY RZEKI KWAI"

■ Pierre Boulle, autor słynnej książki „Most na rzece Kwai" (na podstawie której został nakręcony głośny wielokrotnie nagradzany film) stwierdził w wywiadzie prasowym, że nigdy nie widział rzeki Kwai.

Pierre Boulle ur. w r. 1912 we Francji wyjechał w r. 1936 na Malaje gdzie był plantatorem kauczuku. Pełnił także przez jakiś czas funkcje dyplomatyczną w Singapurze, a w roku 1940 zwerbowany został do związkowczej służby Wolnej Francji. Po inwazji Japończyków Pierre Boulle walczy w partyzantce na terenie Burmy, Chin i Indochin. W roku 1944 dostaje się do niewoli, ucieka z niej i wraca do Francji. Po wojnie przebywa na Malajach, był też w Kamerunie.

Pierwsza jego książka była sensacyjno-przygodowa powieść pt. „William Conrad" (1950). W roku 1952 ukazuje się słynna książka „Most na rzece Kwai" oparta na osobistych doświadczeniach. Autor, który w czasie wojny miał wiele przygód, wspomina m. in. okres życia kiedy był szkolony przez Anglików na sabotażystę: "Szanowni dżentelmeni — mówi — uczyli nas sztuki wysadzania mostów, zakładania wybuchowych ładunków przy burtach statków, wykolejania pociągów. Przedostałem się następnie do Yunanu, aby potem trafwa na rzece Nam-Na (Rzeka Czerwona) przedrzeć się potajemnie do Indochin. Tuż po przybyciu zostałem aresztowany przez zwolenników Pétaina. W zasadzie moja powieść oparta jest na tych przygodach. Ale muszę wyznać, że nigdy nie widziałem rzeki Kwai. To nazwa, którą znalazłem na mapie. Rzeka i inne dane topograficzne odpowiadały zamierzonej przeze mnie akcji powieściowej. Mimo to, ta rzeka właśnie jest odwiedzana przez amerykańskich turystów, którzy z szacunkiem oglądają most zupełnie niepodobny do tego, który opisałem. W Bangkoku powstał nawet hotel pod nazwą „Przy moście na rzece Kwai". Chętnie bym go zobaczył".

Pierre Boulle napisał następnie jeszcze kilka powieści. Akcja niektórych z nich rozgrywa się również na Dalekim Wschodzie („Świętokradztwo malajskie", „Kat", „Próba białych ludzi"). Bohaterami tych powieści są najczęściej Anglicy, których sposób myślenia i obyczaje Boulle opisuje z niesłychaną wnikliwością psychologiczną (np. przedstawia dosadnie specyficzny honor angielski).

W roku 1953 Boulle wydaje powieść pt. „La Face" (Oblicze) a w 1961 „Le métier du Seigneur" (Rzemiosło Pana), których akcja rozgrywa się we Francji. Ostatnia książka jest poświęcona powieściowej analizie zła wiska tchórzostwa. Wydane poprzednio nowele „Contes de l'absurde" różnią się od innych książek tego autora. Ich tematem jest problem absurdu podany w sensacyjnej fabule i z dużym realizmem psychologicznym.

FILOZOF O DZIENNIKARZACH

■ Opublikowany w pełnym wydaniu Dziennik Ostatnich Lat (1853—55) wielkiego duńskiego filozofa Sorena Kierkegaarda niespodziewanie ujawnia jego głęboką antypatię do dziennikarzy: oto dwa fragmenty notatek XIX-wiecznego myśliciela na ten temat:

Kierkegaard

„Jeśliby prasa codzienna miewała wywieszki czy szyldy, winno na nich być napisane: „Tu demoralizuje się ludzi w najkrótszym czasie, na największą skalę i za najniższą cenę".

„Jeślibym miał córkę i ktoś ją uwiódł, widziałbym jeszcze możliwości jej ocalenia. Ale jeśliby mój syn został dziennikarzem i był nim przez lat pięć, straciłbym wszelką nadzieję".

Joan Baez

ŚPIEWACZKA JOAN BAEZ

■ Dwudziestopięcioletnia, o wyjątkowej urodzie, ma zdumiewająco piękny głos, przypominający nieraz głos Ymy Sumac, czarnowłosa o rysach nieco indiańskich — taka jest śpiewaczka Joan Baez.

Pochodzi z Kalifornii gdzie spędziła dzieciństwo, śpiewać zaczęła studiując na uniwersytecie w Bostonie. Pierwszy raz zwróciła uwagę na walory swego śpiewu na Festiwalu w New Port w roku 1959. Wkrótce Joan Baez stała się najznakomitsza śpiewaczką amerykańską folk-songu (pieśni ludowych). Najczęściej lubi śpiewać stare ballady irlandzkie, stare pieśni meksykańskie, lub pieśni których treścią jest walka z rasizmem, braterstwo ludów i walka o pokój. Jest też Joan Baez działaczką społeczną. Brała udział w akcjach na rzecz równouprawnienia czarnych, w marszu pokoju. Segregacje rasowa poznała dzięki własnemu doświadczeniu, gdyż posiada domieszkę krwi indiańskiej. Kocha swój śpiew lecz od pieciu lat odrzuca korzystne kontrakty. Śpiewa to co chce śpiewać i tam gdzie chce. A najchętniej występuje przed młodzieżą uniwersytecką.

KAMIEŃ Z ZAGADKOWYM NAPISEM

■ W Prestino pod Como we Włoszech bawiące się dzieci odkryły niedawno kamień z napisem etruskim. Kamień miał długość 3,70 m i zawierał 42 litery. Badacze przeszłości Etrusków są tym bardzo zainteresowani ponieważ nigdy w tych okolicach nie znajdywano żadnych pomników sztuki czy cywilizacji etruskiej. Kamień według archeologów pochodzi bądź z jakiejś budowli sakralnej bądź z etruskiego nagrobka. Napis powstać mógł między V a II w. przed n.e. Do Prestino wyruszyła ekipa badaczy. Przeprowadzono kopanie ziemi w okolicy znaleziska i ku zdumieniu uczonych odkryto znowu dwa kwadratowo ociosane kamienie zupełnie podobne do pierwszego, znalezionego przez dzieci. Archeologowie i badacze przeszłości etruskiej nie sądzą jednak, żeby w okolicach Prestino był kiedyś obszar władztwa Etrusków. Tak np. najdłuższy ze znanych nam napisów etruskich pochodzi z Egiptu, choć nikt nie przypuszcza, żeby Etruskowie żyli w Egipcie. Jak się zdaje po prostu jakiś Etrusk zmarł podczas swej podróży do Egiptu, tam zaś zabalsamowano go według miejscowego zwyczaju, a na taśmach którymi owinięto mumię dano napis z etruskiej księgi zmarłych.

CAŁOWANIE SIĘ W FILMACH INDYJSKICH — ZABRONIONE

■ Zabrania się pokazywania pocałunków w filmach indyjskich — oświadczył minister informacji Raj Bahadur. „Sex jest rzeczą świętą — dodał — i całowanie się w naszym społeczeństwie nie powinno być pokazywane publicznie".

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

„(...) W tej właśnie sytuacji ujawnia się dobitnie wychowawcza rola sztuki. Ona przede wszystkim potrafi przywrócić nam wrażliwość na piękno otaczającej nas rzeczywistości, wytworzyć poczucie ładu i harmonii, nauczyć nas patrzeć na świat, ukazać prawdę utajoną w chaosie doznań. Ale nie dokona tego nigdy sztuka traktowana „od święta", oglądana z rzadka i przygodnie, w pośpiechu i natłoku. Konieczny jest bezpośredni kontakt, codzienne obcowanie. A największej korzyści może przynieść ów kontakt w latach młodzieńczych, w latach wrażliwości jeszcze nie stępionej. (...)"

No i cóż dodać tu można? Najwyżej to, co powiedział Karol Marks: „Sztuka jest najwyższą radością..."

Powyższe stwierdzenia plastycy łódzcy poparli pięknym czynem: Otwarcie Salonu Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 88 uświetnili Wystawą Malarstwa i Grafiki (dar dla Szkoły im. Małgorzaty Fornalskiej w Łodzi). Czterdzieści i cztery prace malarzy łódzkich będą służyć bezpośredniemu obcowaniu młodzieży ze sztuką.

Uroczyste otwarcie Salonu Sztuki Współczesnej odbyło się 10 maja 1966 r. i w ten sposób Łódź znów jest bogatsza o nowy przybytek sztuki; o nowe źródło emanacji i inspiracji.

WTOREK

Prawdziwą biesiadą muzyczną był koncert w FŁ poświęcony twórczości Beli Bartoka, jednego z najświetniejszych kompozytorów pierwszej połowy XX wieku. Bartok łączy elementy folkloru węgierskiego z muzyką współczesną, przez co jest nam bliski a nawet zrozumiały dla przeciętnie wyrobionego słuchacza.

W ogóle muzyka bratniego narodu przypada nam do serca.

Orkiestra, dyrygent i soliści dobrym wykonaniem godnie uczcili bartokowską rocznice.

ŚRODA

Obchody Tygodnia Ziem Zachodnich i Północnych mają w naszym mieście przede wszystkim popularyzacyjny charakter.

W bieżącym roku nabrały one szczególnego i szerszego znaczenia: „Tysiąc lat tradycji polskiej nad Nysą, Odrą, i Bałtykiem" — oto tytuł konkursu dla młodzieży szkolnej, oto treść rozwijania poprzez odczyty, sesje naukowe, prelekcje — form, które przybliżają społeczeństwu historyczną i aktualną wagę zagadnienia.

CZWARTEK

Szóste Kaliskie Spotkania Teatralne przyniosły duży sukces teatrowi im. Jaracza w Łodzi. Jury konkursu I nagrodę za najlepszą reżyserię („Kaligula" Camusa) przyznało Józefowi Grudzie. Za najlepszą grę aktorską jedną z równorzędnych pierwszych nagród otrzymał Krzysztof Chamiec, również za „Kaligulę".

Tak więc pierwsza nagroda przyznana przez TPŁ zespołowi Teatru Jaracza za „Kaligulę" „zobiektywizowała się".

To dobry znak, że oceny lokalne poprzedzają „zagraniczne".

PIĄTEK

Udział Klubu MPiK w tegorocznych obchodach Dni Oświaty Książki i Prasy zainaugurowano „Godziną hiszpańską". „Godzina" poświęcona uczczeniu pamięci Cervantesa miała charakter muzyczno-słowny. Wystąpili Barbara Hesse-Bukowska oraz Ryszard Ostromęcki.

Zorganizowano również wystawę cervantesowską.

I pomyśleć — 350 lat minęło od śmierci wielkiego pisarza, a on nam coraz bliższy; coraz lepiej, patrząc przez pryzmat historii, rozumiemy autora „Don Kichota".

SOBOTA

Ech, żeby tak jeszcze raz mieć te dwadzieścia lat. Podskoczyłoby się, oj podskoczyło... na juwenaliach. Pierwszy dzień, to znaczy sesje naukowe, przesiedziałem godnie nie odczuwając rozterki. Drugiego dnia zaczęło się. Czy na scenie studenckiej grać ducha ojca Hamleta, czy skakać przez płotki, czy też wystąpić na lewym skrzydle w „meczu piłkarskim Polska — Reszta Świata" — oto pytanie. Trudny wybór. Wypiłem kawę na stojąco. A dawniej, ach dawniej! Rano lekkoatletyka, w południe strzelanie do rzutków, po południu mecz, wieczorem deski sceniczne, a w nocy marzenia o trzecim dniu.

Trzeciego dnia barwny pochód żaków, wieczorem Zabawa: i Igrce aż do białego rana.

Zdrowie to jest, zapał też, tylko te opory wewnętrzne. Skąd one — wyjaśnię w niedzielę.

NIEDZIELA

Wszystkiemu winne „Odgłosy". Wyprałem koszulę, wyprasowałem spodnie — na juwenalia; później, w najlepszym nastroju zacząłem się golić maszynką elektryczną. Wówczas wzrok mój padł na 19 numer „Odgłosów", na str. 9, na poniedziałek N. K. gdzie jak byk „stoi" napisane, że we wrześniu 1692 r. zbierałem grzyby. Gorączkowo zacząłem liczyć: w 1962 roku miałem, w związku z powyższym, ponad 300 lat, jeżeli zważyć, że zbierając grzyby w 1692 byłem w wieku męskim.

A teraz? Szkoda mówić. Nie do igrców, człowiekowi w tych latach — pomyślałem, chociaż, tak ogólnie, czułem się w niezłym zapale.

Ech, żeby tak jeszcze raz mieć dwadzieścia lat, albo przynajmniej odjąć te trzysta — które dopisał mi chochlik drukarski — wówczas pewnie nie byłoby oporów wewnętrznych i podskoczyłby człowiek z żakami aż miło.

T. Żeleński

POLONICA

JIRASEK A POLSKA

Jak donosi praski tygodnik „Kulturni Tvorba" (z 5 maja br.), została przygotowana wystawa objazdowa, poświęcona Alojzemu Jiraskowi i jego związkom z Polską. Alois Jirasek, pisarz i dramaturg, autor powieści historycznych, zmarł jeszcze przed wojną, ale jego utwory raz po raz wracają na sceny czeskie i innych krajów. Przypomnijmy, że przed kilkunastu laty łódzki Teatr Nowy wystawił jego „Latarnię" w reżyserii Jerzego Merunowicza. Również przed paru laty dr Jerzy Śliwiński ogłosił tom pn. „Korespondencja A. Jiraska z Polakami". Wystawa, o której mowa, będzie najpierw pokazana publiczności warszawskiej, a później przeniesiona do innych miast polskich. Miejmy nadzieję, że ujrzymy ją również w Łodzi.

HUMORESKA A. MARIANOWICZA

Wydawany w Brunszwiku (NRF) kwartalnik „Sonnenberg", poświęcony sprawom międzynarodowym, przynosi w najnowszym numerze w części literackiej humoreskę Antoniego Marianowicza pt. „Wróg nas chwali". Warto zauważyć, że wszystkie teksty w tym piśmie drukowane są w trzech językach: niemieckim, angielskim i francuskim. Ponadto w tymże numerze opublikowano kilka „Myśli nieuczesanych" zmarłego niedawno w Warszawie Stanisława Jerzego Lec a. Tekst A. Marianowicza pochodzi z antologii satyry polskiej, która pn. „Polskie pointy" ukazała się przed rokiem w przekładach Karla Dedeciusa.

POLAK O LITERATURZE NIEMIECKIEJ W CZESKIM PISMIE

Znany, znakomicie redagowany miesięcznik praski „Plamen", drukuje w odcinkach rozważania Jana Roznera na temat literatury niemieckiej lat dwudziestych. Do tej pory ukazały się już dwa odcinki, i redakcja zapowiada ciąg dalszy. Jan Rozner mieszka stale w Cieszynie i współpracuje zarówno z pismami polskimi jak i czechosłowackimi. Jego artykuł w „Plamen" tłumaczyła na język czeski Milena Hodanova. Jan Rozner specjalizuje się właśnie w zagadnieniach literatury niemieckiej.

TRAFNA CHARAKTERYSTYKA

Radio genewskie nadało przed kilku laty sztukę Jerzego Szaniawskiego „Dwa teatry". Nastąpiło to z inicjatywy dobrego znawcy i gorącego entuzjasty polskiej literatury, wybitnego krytyka i dramatopisarza, autora „Kariery w Chicago" i „Bankiera bez twarzy" Waltera Weidelego. Weideli poprzedził ową audycję wstępem, który jest jednym z najciekawszych esejów, jakie o „Dwóch teatrach" i o Szaniawskim napisano. Obecnie dziennik szwajcarski „Journal de Genève", gdzie Weideli jest redaktorem działu literackiego, zamieścił krótki artykuł o Szaniawskim z okazji 80-lecia urodzin i 50-lecia twórczości naszego pisarza. Artykuł ten wspomina pierwszą sztukę Szaniawskiego, „Murzyna", mówi o pionierstwie twórcy „Zegarka" w zakresie europejskiego teatru radiowego, nadmienia o dyskusjach, jakie w Polsce wywołały „Dwa teatry", które zdaniem autora „są najlepszą sztuką polską z okresu pierwszego dwunastolecia po wojnie". „Journal de Genève" charakteryzuje twórczość Szaniawskiego jako manifestację realizmu poetyckiego, podnosi w tych utworach „konstrukcje dokładną, żelazną logikę, mistrzowską kondensację". Dodaje, że „znaleźć w nich można groteskę, ironię, a zwłaszcza grę milczenia, wymowniejszą od słów. Dotyczą one spraw ludzkich, prawdy i kłamstwa, błędów i niesprawiedliwości, rzeczywistości i fikcji".

(WN)

GASTON BART-WILLIAMS

WĘŻE Z SASAKALA

Gaston Bart-Williams, urodzony w 1938 r. w Sierra Leone (zachodnia Afryka), studiował w Londynie, opublikował tomy wierszy i opowiadań, jest laureatem paru nagród literackich.

Jest ciepła, tropikalna noc. We wsi słychać głos bębnów. Tańcząc schodzą się wszyscy, starzy mężczyźni i ich kobiety, dzieci ze swoimi zabawkami. Żony rybaków przynoszą ryby w łupinach z dyni, a myśliwi przybywają z upolowanymi antylopami. Ludzie piją rum i śpiewają, tańczą i jedzą świeżo upieczone mięso antylopy.

Uderzenia bębnów stają się głośniejsze, szybsze. Ich dźwięk wzrasta do wibrującego, groźnego rytmu, który przynagla dziewczęta o nagich piersiach do tańca z mężczyznami. Ci zaś, wśród dzikich skoków i wymachiwań rękami, poddają się rytmicznym uderzeniom bębnów.

Wokół tańczących siedzą starcy. Kołysząc się w takt, klaszczą w dłonie, aby tancerze byli jeszcze bardziej ogniści. W tę falującą, wibrującą masę ciał wciśnięte, stoją dzieci. Gapią się na kipiący chaos tego nocnego święta. Tylko niewiele z nich próbuje naśladować dorosłych.

Młody mężczyzna, ubrany jak ludzie z miasta, obcy w tej wsi, wchodzi w środek wirującego kręgu i miesza się z tancerzami. Wtedy zatrzymują się klaszczące ręce i po ostatnich, mocnych uderzeniach milknie głos bębnów. Cała ta ludzka masa szalejąca w dzikim, nieokiełznanym tańcu, zastyga teraz nagle, w milczeniu i przerażającym odrętwieniu.

Teraz wystąpi czarownik. Wolnymi ruchami zbliża się do obcego chłopca, stojącego pośrodku koła i mówi: „Młody człowieku, twoja śmierć jest blisko"!

To ja byłem owym chłopcem, do którego przemówił czarownik. Ale nie przerażało mnie jego ponure proroctwo. Czyż nie ciekawość i żądza przygody przywiodły mnie do tropikalnych lasów? Wiedziałem, że wszędzie czyha niebezpieczeństwo i mogę umrzeć od jadowitych zębów węża. Tak. Ale lubiłem rzucać wyzwanie śmierci.

„Twoja śmierć jest blisko, chłopcze!" — powtórzył czarownik. Nie płakałem, jak tego oczekiwali wszyscy. Nie żałowałem, że się tu znalazłem. Śmiałem się tylko. Śmiałem się dziko i przerażająco.

Podeszła do mnie stara bezzębna kobieta i podała mi jajko. „Głupi chłopcze, — powiedziała — weź to jajko i wręcz je czarownikowi. Daj mu je i proś o przebaczenie. Weź także moją odzież, moje pierścienie i wszystko co posiadam i ofiaruj to czarownikowi, aby przebłagał bogów!"

Popatrzyłem na czarownika, na starą kobietę, na ludzi wokół nas i na jajko w mojej dłoni. Cisnąłem jajko na ziemię. Pękło z trzaskiem na piasku. Żółtko wyciekało żeń wolno układając się w dziwaczną formę żółtej mątwy.

Odważyłem się stawić czoła czarownikowi! To tak przeraziło ludzi stojących obok mnie, że gdy w chwilę potem oprzytomnieli z osłupienia, wybuchnęli żałosnym lamentem. Czyż zuchwalstwo głupiego chłopca z miasta nie rozgniewa duchów? Nawet powietrze drżało z podniecenia.

Wtedy czarownik wyciągnął rękę. I stało się tak, jakby nacisnął niewidzialną dźwignię, która zmusiła tłum do milczenia. „Posłuchajcie, kochani ludzie — powiedział — tu przed wami widzicie głupiego chłopca z butą i fałszywą dumą w sercu, który chce pochwalić się odwagą wielkiego człowieka. Ten chłopiec jest tak samo czarny jak i my, lecz gdyby nie kolor jego skóry, byłby dla nas równie obcy, jak są biali. On nie wierzy w siłę mych leków, ani w to, że jestem pośrednikiem między wami i duchami. Przyjmuje jego wyzwanie. Pozwólmy mu, aby miał możność wyboru między życiem a śmiercią, między wiarą i niewiarą. On sam musi rozstrzygnąć czy chce żyć w naszym plemieniu i poddać się mej władzy czy odejść, co dla niego jest równoznaczne ze śmiercią".

Czarownik odwrócił się do mnie i surowym głosem powiedział: „Namyśl się chłopcze! Decyduj się szybko! Czekamy".

Zapadła cisza, która zachwiała moją odwagę. Tysiące oczu błyskało ku mnie. Chciałem uciekać. Uciec daleko stąd, daleko od świata, od tych ludzi, z dala od tych huczących bębnów. Znów popatrzyłem na rozbite jajko na ziemi, na jego dziwaczny kształt. Macki mątwy skręciły się do środka, jakby trzymając zdobycz. Wtedy roześmiałem się i wolno wyszedłem z tłumu.

„Więc odchodzisz, ty pyszałkowaty chłopcze, zuchwały chłopcze. Idź więc w wołające cię ramiona śmierci! Twój zgon przebłaga zagniewane duchy". Gdy czarownik wymówił te słowa bardzo uroczyście, odezwało się huczenie bębnów. Wszystko drżało od tych dźwięków: lasy i serca mężczyzn. Dla mnie były one tylko nowym wyzwaniem. Poczułem się na powrót odważny jak przed tem, chciałem jedynie udowodnić, że czarownik nie posiada więcej nadnaturalnych sił, niż każdy ze śmiertelników. Wygram tę walkę, myślałem, i biegłem. Im dalej byłem od tłumu, tańców i huczenia bębnów, tym bardziej przy każdym kroku prześladował mnie ich rytm. Biegłem dalej i dalej, aż na koniec wsi, gdzie zabudowania i chaty stały puste w tę noc. Aż już nie mogłem biec bez zatrzymania się. Musiałem poszukać w opuszczonej chacie wody i czegoś do jedzenia.

Fot. W. Paryś

Chata wyglądała na pustą, ale przy dokładniejszym przeszukaniu, odkryłem zapasy wystarczające dla wielu ludzi. Musiała to być spiżarnia wielu osób. W zasięgu mej ręki mogłem wziąć tyle żywności, aby przynajmniej na jeden dzień zaspokoić mój wygłodniały żołądek. Stopniowo zacząłem się zastanawiać nad tym, jakie kroki podejmą moi rodzice gdy spostrzegą moje zniknięcie z domu. I lęk mój o to łączył się i rósł wraz z innymi obawami.

Małe dziecko, myślałem, byłoby teraz płakało, ale ja? Postanowiłem sobie, że ani jedna łza nie zwilży moich policzków. Cały czas dotąd powstrzymywałem się od wypicia choćby jednego łyku palmowego wina, ale wreszcie zbliżyłem usta do butelki z dyni i przełknąłem. Zapach był mdły i zgniły, a smak gorzkawy. Działanie jednak okazało się mocne. Próbowałem nie spać, ale bez skutku. Może spałem, a może było to w stanie między jawą a snem, gdy raptem poczułem na mojej twarzy bieganie małych, lepkich palców. Jestem uwięziony, pomyślałem nagle i gwałtownie poderwałem się na nogi. Zacisnąłem pięści, gotowy do obrony. Nikogo jednak nie było, choć słyszałem szmery i jakby lekkie kroki. Czekałem z lękiem. Szmery zbliżały się. Wreszcie ujrzałem natrętów — trzy brązowe szczury.

Odwróciłem się i wyszedłem z chaty. Szedłem do Sasakala.

Sasakala jest słynna z węży. Wszystkie ich rodzaje znajdują drogę do wsi, która wciśnięta jest w masyw górski kraju Sierra Leone. Nad samą wsią wznosi się szczyt Bintumani. Prawie wszyscy mieszkańcy zajmują się tu uprawą roli, pasą bydło, trzymają kury. Niemal co dnia widzą, że nagle bydło kręci się jak oszalałe, a ptactwo z krzykiem podrywa się w górę. Wtedy mieszkańcy wsi wiedzą, że w pobliżu pojawiły się węże. Są tu stale. Pytony, żmije i wiele innych jadowitych gatunków. Ale ludzie nie odchodzą stąd. Przywiązali się sercem do tej doliny, gdzie czyha śmierć. Zbiory są tu obfite, a trawa soczystsza niż na łąkach sąsiednich wsi.

W drodze do Sasakala niosłem z sobą procę, nóż do wycinania krzaków w puszczy i parę starych butów. Teraz byłem przeświadczony, że czarownik nie miał racji i że nie umrę. Chciałem rzucić wyzwanie śmierci w dolinie wężów, w Sasakala.

Słońce błyszczało już nad grzbietami górzystego kraju, mogła być godzina siódma rano. Byłem oszołomiony niesamowitymi szmerami lasu, widokiem kwiatów i ptaków. Usiadłem nad brzegiem strumienia i jadłem to, co udało mi się znaleźć, bulwy manioku i kilka orzechów ziemnych. Byłem niemal całkiem zatopiony w myślach, gdy nagle ujrzałem węża. Był czarny, brązowo centkowany i z czerwonym grzebieniem na łbie. Uciekłem w gąszcz, torując sobie drogę wśród splątanych lian. Przystanąłem i obserwowałem płaza. Widziałem jak jego długie, śliskie ciało zanurza się w potoku. Jeszcze nigdy nie spotkałem węża tak okropnego, tak niebezpiecznego i wyglądającego na zgłodniałego. Opowiadano mi, że są węże, które muszą zjeść pół tuzina cieląt, by zaspokoić swój głód.

Wdrapałem się na najbliższe drzewo, chcąc bezpiecznie usadowić się na gałęzi, aby stamtąd lepiej móc obserwować węża. Ale gałąź nie była dość mocna, złamała się z przeraźliwym skrzypieniem i zwisła w dół, ja zaś opadłem parę metrów niżej na inną gałąź.

Czy wąż zauważył, co się stało? Dwoje złych, błyszczących oczu wpatrywało się we mnie z uporem. Głowa węża drgała. Otworzył pysk ukazując śmiercionośne, zatrute zęby. To śmierć patrzyła na mnie.

W desperackim strachu zeskoczyłem z gałęzi, lewą ręką chwyciłem się zwisającej gałęzi, a nożem do wycinania krzewów, trzymanym w prawej ręce ciąłem w łeb płaza. Zadawałem cios za ciosem tej wyciągniętej ku mnie, obrzydliwie syczącej głowie węża. Zdawało mi się, że walka nie skończy się nigdy. Już prawie u kresu sił ujrzałem, że płaz się odwrócił. Widziałem jak zwinięty kieruje się na brzeg strumienia. Uniosłem rękę, aby zadać ostatni śmiertelny cios, gdy ujrzałem obrzydliwą bryłę płynącą na wodzie. To co widziałem to była żółta mątwa, a wyciekająca z niej krew była czarna jak atrament. Mątwa stawała się coraz mniejsza i wreszcie ujrzałem rozbite jajko znikające w rzecznym mule.

Z pokrwawionymi dłońmi i pokaleczonymi nogami pobiegłem do chaty, w której mieszkał Alimany. Jego ojciec powiedział: „To był zły duch z Sasakala. On jest zwiastunem śmierci". Przy jego słowach opuściły mnie siły, nogi ugięły mi się w kolanach. Upadłem na ziemię.

W nocy miałem męczący sen. Znowu widziałem jajko, widziałem jak pękło i jak wyfrunął z niego zaczarowany ptak śpiewający żałobną pieśń:

Umierający, ja tu stoję!
Czekam. Czekam na
ciebie,
aby wskazać ci drogę
do kraju
z którego nie ma powrotu.
Chodźmy! W drogę...!

Zimny wiatr powiał przez chatę i obudziłem się. Zobaczyłem jak dygocze pleciony dach chaty. Na dworze miotane wichurą szeleściły zboża.

Ujrzałem nagle rękę. Krzyknąłem i mój krzyk obudził wszystkich. Wtedy powiedział ojciec mego przyjaciela Alimany: „Śniło ci się, mój chłopcze", a do swego syna odezwał się: „Idź i śpij z nim w jednym łóżku!" Powiedziałem ojcu, że dłoń którą ujrzałem, wyglądała jak ręka czarownika. Ojciec mego przyjaciela uspokoił mnie: „Czyż w ciemności wszystkie ręce nie wyglądają tak samo"?

Alimany leżał obok mnie i wkrótce znowu zasnęliśmy. Ale i teraz moje sny były przerażające. Obudziłem się. Pokaleczenia bardzo mi dokuczały. Zziębłem, więc szczelnie otuliłem się nakryciem. Alimany nie chciał się przykryć. Było mu w chacie za gorąco. Po chwili usłyszałem, że płacze. Skarżył się, że leży na słomie i że pokłuła go jak szpilki.

Zeskoczyłem z łóżka i przyniosłem lampę. „Alimany!" — zawołałem. Jego oczy były na wpół przymknięte. Pot spływał po jego ciele. Nie odpowiedział. „Alimany!" — zawołałem powtórnie ale i tym razem nie odpowiedział. Potrząsnąłem nim mocno.

Wtedy jego ojciec podszedł do łóżka. Odepchnął mnie, a sam ukląkł obok syna.

Alimany nie żył. Zrozpaczony ojciec ściskał jego ręce. Nagle skoczył ku mnie, szarpał mną tak, jakby chciał mnie rozstrzaskać. Widziałem w jego oczach nienawiść. Popchnął mnie do drzwi. Potem wybiegł z chaty. Domyśliłem się, że pobiegł do szopy po siekierę.

Przez otwarte drzwi uciekłem w noc. Biegłem i biegłem w kierunku wsi.

Tłumaczył:
JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

CZŁOWIEK DO ZABICIA...

Telewizja Niemiec Demokratycznych nadała niedawno film pt. „Uśmiechnięty mężczyzna", który zresztą ma przyjść także na nasze ekrany. Jest to autentyczny wywiad z osławionym zachodnioniemieckim kondotierem, najemnym żołdakiem i mordercą — amatorem, majorem Mullerem. Pisała o nim także nasza prasa jako o jednym z oficerów białych wojsk najemnych w Kongo. I pisała też o innym tego typu zabijace, Jacopettim, który podczas walk w Katandze filmował w wielkim zbliżeniu sceny rozstrzeliwań i tortur, dokonywanych na jego zamówienie. Filmował też z odległości dwu dziestu centymetrów twarz człowieka, któremu sam strzelił w brzuch.

Major Muller znał Jacopettiego. Zapytany o jego filmową „twórczość", odpowiedział reporterom:

„Jacopetti był od generała Mobutu upoważniony do robienia zdjęć i do działania przy zajmowaniu Buende. Wiedziałem, Jacopetti, ciężko pracuje — jest dobrym reżyserem. Może powiedział: słuchajcie, tu jest człowiek do zabicia, postawcie go trochę bardziej na lewo, aby słońce lepiej świeciło..."

Potworność! Dawno temu już obcinanie po kawałku rąk i nóg było widowiskiem i zabawą, łączoną z huśtawkami, odpustami i grą w kości. Więc może nawet mniej dziwi, że widz pójdzie chętniej do kina, gdy mu zapowiedzą, że to nie thriller pana Hitchcocka, tylko autentyczny dokument. Patrzcie, tak rzyga pijak na ulicy Hamburga — pokażą w „Mondo Cane". Patrzcie, tak zdycha wół rąbnięty siekierą w kark, tak spływa jego krew po łapach uśmiechniętego Nepalczyka. A tak męczy się naprawdę człowiek, gdy mu przystawić mały metalowy przedmiot do brzucha i nacisnąć języczek... Pójdą do kina, wytrzeszczą oczy, może tylko niektórzy — ci najlepsi — nie uwierzą, że to autentyczne; że ktoś miał czelność naprawdę strzelić i fotografować, po to, żeby ci inni wytrzeszczali ślepia... Ohyda!

W Stanach Zjednoczonych przed trzema laty zamordowano bestialsko dwoje rodziców i dwoje ich dorastających dzieci. Z niewiadomych przyczyn. Sprawców ujęto, było ich dwóch.

Znany amerykański pisarz, tłumaczony także na polski, Truman Capote, zajął się mordercami. Przez trzy lata był z nimi w najbliższym kontakcie, studiował ich psychologię, uruchamiając jednocześnie ogromną reklamę, zapowiadającą ogłoszenie drukiem sensacyjnego autentyku. Morderców stracono. Truman był przy tym, przyjaźnił się przecież z nimi... Reklama grzmiała coraz potężniej. Książka wyszła. Capote jest od razu milionerem. Książka ma wyjść także po polsku, reklama już była — i to jaka: w „Przekroju". Ludziska u nas rzucą się na nią tak samo jak gdzie indziej. Pieniążki płyną.

Jeden tylko głos napomknął o czymś, co wydaje nam się bliskie prawdy: pan Capote przez te trzy lata nieraz się pewnie niecierpliwił. Egzekucja była mu potrzebna. Reklama musiała się opłacić. „Jest człowiek do zabicia. Postawcie go trochę bardziej na lewo..." Ohyda!

W tychże Stanach popełnił przed paru laty samobójstwo wielki pisarz, Ernest Hemingway. Miał przyjaciela, pana Hotchnera. Mężczyzna nigdy nikomu nie powie tego, co powie drugiemu mężczyźnie, którego uzna za przyjaciela. Hemingway mówił o najintymniejszych sprawach; w ostatnich latach życia pił dużo, a po wypiciu mówił jeszcze więcej. Nie wiedział, oczywiście, że pan Hotchner nie tylko wszystko skrzętnie notuje, dolewając whisky, ale nawet niekiedy włącza magnetofon. Żeby mu potem nie zarzucali kłamstw. Potem? No tak, po śmierci pisarza. Ta śmierć była „przyjacielowi" potrzebna. Z notatek i taśm magnetofonowych wyszła cacana książeczka, wyszła właśnie niedawno, mimo protestów rodziny. Pieniążki popłyną... „Jest człowiek do zabicia..." Ohyda! Po trzykroć ohyda!

Już nikt nie cofnie się przed niczym. Nie tylko dlatego, że pieniądz nie śmierdzi. Także dlatego, że nikt nikogo nigdy za nic nie potępi. Laissez passer! Absolutna względność wszystkiego, absolutna amoralność, absolutny, samobójczy, unicestawiający nihilizm — oto obyczajowa dominanta kultur, do których — na szczęście — jeszcześmy nie dorośli.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1433 V.66. E-11